ROK 2. NUMER 2 (6)
1937 • GRUDZIEŃ

ŻYCIE ŚWIADOME

KWARTALNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM REFORMY SEKSUALNEJ I OBYCZAJOWEJ

EUGENIKA • REGULACJA URODZEŃ • POLITYKA LUDNOŚCIOWA
REFORMA PRAWA MAŁŻEŃSKIEGO • WALKA Z PROSTYTUCJĄ
OCHRONA MATKI I DZIECKA • REFORMA WYCHOWANIA

TREŚĆ

1 zł.

TREŚĆ NUMERU VI:

Redakcja i administracja — Kraków, Dunajewskiego L. 7.
Sekretarz redakcji przyjmuje we wtorki i czwartki od godz. 19·30 do 20·30
Cena pojedynczego egz. 1·— zł
W prenumeracie rocznej 3·40 zł
Prenumeratę i wszelkie przesyłki pieniężne uprasza się przesyłać czekiem P. K. O. pod adresem: Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów — Kraków — nr 405 424.
Nakładem Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów, Kraków, Dunajewskiego 7.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ JANUSZ S. RZUCHOWSKI

Rok II. Grudzień 1937 Nr 2 (6).

Życie Świadome

Kwartalnik poświęcony zagadnieniom reformy seksualnej i obyczajowej

PROF. U. J. DR ODO BUJWID

Kobieta w Brazylii

Po powrocie z Brazylii, gdzie spędziłem parę miesięcy, pragnę podzielić się z czytelnikami spostrzeżeniami, jakie zdołałem poczynić, o życiu i sytuacji społecznej kobiety brazylijskiej. Sytuacja obecna w porównaniu z dawną, widzianą przeze mnie po raz pierwszy przed dziesięciu laty, uległa znacznym, korzystnym przemianom.

W uniwersytetach w Rio de Janeiro i San Paulo, w Instytucie naukowym imienia Oswaldo Cruz i innych, widzimy już kobiety studiujące medycynę oraz ukończone lekarki i asystentki, pracujące na równi z mężczyznami, a nawet wyróżniające się korzystnie na polu poważnej naukowej pracy. Jest ich wprawdzie niewiele, ale przed 10 laty wcale ich nie było. Podobnie w urzędach i innych instytucjach widzimy kobiety pracujące, jednak w ilości znacznie mniejszej niż u nas, lub w krajach Zachodniej Europy. Ale i tu dodać należy, że przed laty 10 wcale się kobiet na tych stanowiskach nie widziało. Natomiast w przedsiębiorstwach handlowych, w sklepach, widzimy bardzo dużo kobiet; cyfra ich prawie dorównywa cyfrze zatrudnionych mężczyzn. Widać, że na tym polu konkurencja pracy kobiecej jest bardzo poważną i że mężczyzna jest często przez kobietę rugowany.

Przeglądając rocznik literatury brazylijskiej za 1936 r. znalazłem tylko dwa nazwiska kobiece. Świadczy to, że kobieta w literaturze brazylijskiej stoi jeszcze bardzo daleko od swoich siostrzyc z Europy albo Ameryki północnej. U nas w Polsce jest przecież coraz więcej wybitnych kobiecych talentów pisarskich, a być może, że talenty te nie tylko nie ustępują, ale prześcigają obecnie niejeden talent męski.

Na polu sztuki, malarstwa czy rzeźbiarstwa również nie spostrzegamy w Brazylii nazwisk niewieścich.

Wszystko to jest znamienne dla kobiety brazylijskiej. Jest ona przeważnie zamkniętą w kółku rodzinnym i mało, albo wcale nie zajmują jej sprawy społeczne ani polityczne. W polityce kobieta brazylijska zupełnie udziału nie bierze, zostawiając to wyłącznie męskiej głowie.

Kobieta brazylijska, zupełnie pochłonięta życiem rodzinnym, jest dobrą żoną i matką. niestety nie dosyć wykształconą często w stosunku do swoich dzieci, które dzisiaj w szkole zdobywają więcej wiadomości, niż to mogła osiągnąć matka. Nie może ona wskutek tego mieć należytej powagi wobec dzieci, zwłaszcza synów. I tutaj widać często niemiły rozdźwięk. Wiele kobiet zamożniejszych całe początkowe wychowanie dziecka powierza piastunce, najczęściej murzynce, zwykle bardzo przywiązanej do swoich wychowanków, ale nie mogącej należycie spełnić zadania ponad swoje siły.

Stosunek męża do żony jest patriarchalny. Traktuje on żonę jak dziecko, nie wtajemniczając jej w swe sprawy zawodowe ani społeczne. Ale to jest przecież jeszcze tak powszechne w całym świecie, że nie mam żadnego prawa mówić tego jedynie o Brazylijczykach. Bo czyż podobnie nie dzieje się i dzisiaj jeszcze u nas? Prawda, że te rzeczy mocno się zmieniły od czasu, gdy kobieta usamodzielniła się, pracuje na siebie i nie tylko na siebie, ale nieraz utrzymuje całą rodzinę własną, a niekiedy bezrobotnego męża i członków jego rodziny.

W Brazylii kobieta, jak już powiedziałem, jest mało samodzielną i jej rolą główną jest gospodarstwo domowe i dzieci.

Pod tym względem stosunki w Brazylii są mocno odmienne od naszych.

Brazylia, nie należy tego zapominać, jest krajem co do powierzchni prawie równym Europie, zaś liczba jej ludności nie wiele jest większa aniżeli Polski. Dla dzieci Brazylia jest rajem prawdziwym, nie widać tam dzieci opuszczonych tak, jak to się dzieje gdzieindziej. Dziecko nie mające rodziców, sierota znajdzie tam natychmiast opiekę u rodziców przybranych. Nie ma tam małżeństwa bezdzietnego, gdyż każda para małżeńska zawsze rychło przybiera sobie dziecko z przytułka i adoptuje je jako własne.

Kobieta brazylijska jest dobrą żoną, matką i oszczędną gospodynią. Wyjątki zdarzają się, jak wszędzie. Jest również miłą towarzyszką rozmów, jakkolwiek zakres jej myślenia nie jest szeroki, właśnie z powodu odmiennego ustosunkowania się jej do spraw społecznych i szerszego życia. Coś zbliża ją w tym względzie do kobiety wschodu, a niewątpliwie oddziaływać tu musi jej pochodzenie portugalskie lub mieszane. (Dużo jest mieszańców z rasą murzyńską i indiańską).

Mówię ciągle o kobiecie ze sfer urzędniczych i mieszczań-

skich albo ziemiańskich. Kobiety ze sfer fizycznie pracujących dzielą losy swych towarzyszów nie ustępując im wcale w ciężkiej pracy.

Patriarchalność w stosunkach małżeńskich w Brazylii wyraża się bardzo swoiście w wypadku zdrady małżeńskiej. Tu rozprawa jest krótka. Naprzód kula w łeb przyjacielowi, a potem i małżonce. Sądy rozpatrują takie sprawy bardzo pobłażliwie dla zdradzonego. Najczęściej uwalniają go od winy i kary. Kilka podobnych przykładów zdarzyło mi się słyszeć nawet pośród polskich osiedleńców. Po jednym takim tragicznym przypadku pozostały sieroty. Na szczęście działo się to w Brazylii — sieroty nie pozostały bez opieki. W tym samym dniu miały już nowych, przybranych rodziców. Dwie dziewczynki mówiące tylko po portugalsku wychowały się na Polki.

W tej chwili wchodzę wspomnieniem do szkoły polskiej w jednej z odległych kolonij. Szkołę utrzymuje gmina polska. Nauczycielka Polka każe śpiewać piosenkę. Dużo dzieci krwi mieszanej, niektóre o czarnej jak heban twarzy. Widzę przed sobą jedną taką hebanową twarzyczkę o białych, jak perły zębach z zapałem i południowym temperamentem śpiewającą:

„Polska krew w nas płynie, Polska nie zaginie póki my żyjemy!"

Inne dwie dziewczynki, bliźnięta lat około 14, wychowane przez dwoje bezdzietnych, przybranych polskich rodziców, rozmawiają doskonałym polskim językiem, marzą i myślą o tym, jakby to było dobrze zobaczyć tę daleką Polskę, o której tak często mówią i myślą ich rodzice.

Mężczyzna, który uchodzi za konkurenta musi sie ożenić, bo jeżeli uwiedzie obietnicą małżeństwa, a obietnicy nie dotrzyma, grozi mu niechybnie kulka w łeb ze strony jednego z członków rodziny oszukanej dziewczyny. I to się dzieje we wszystkich sferach. Jak zaznaczyłem, sądy patrzą łagodnie na tego rodzaju zemstę i usprawiedliwiają zabójcę. Zresztą Brazylia jest tak obszerna, że przed ręką sprawiedliwości można się łatwo ukryć gdzieś w odległym Stanie na lat parę, a czas robi swoje i o takim małym wypadku łatwo się zapomina.

Pożycie małżeńskie w rodzinach, które zdołałem poznać, jest na ogół bardzo przykładne. Kobieta zajęta przez cały dzień pracą domową; najczęściej musi ją wykonywać sama, bo pomoc służby przychodniej jest droga i niewygodna. Służbę najemną spotyka się tylko u zamożniejszych. Rodzina w Brazylii zwykle dosyć liczna, a więc dużo zajęcia koło dzieci. Dzieci wracają ze szkoły, mąż z biura lub innego zajęcia. Wszystko to wymaga opieki i obsługi. Kobieta jako matka i żona jest od od rana do nocy zajęta i często nie ma czasu ani sił na rozrywkę, którą najpospoliciej jest kino. W Brazylii, mówię w tej chwili

o miastach takich jak Rio de Janeiro, S. Paulo i Curityba, kina są bardzo liczne i zawsze zapełnione. Teatrów stałych ani oper nawet w stolicach Stanów niema. Wskazuje to na prymitywny jeszcze obraz potrzeb kulturalnych.

Pomoc społeczna dla matki i dziecka jest w wielkich miastach łatwo dostępna. Kobieta rodząca znajduje w każdej chwili potrzebną opiekę i pomoc lekarską, najczęściej kosztem miasta lub stowarzyszeń charytatywnych, które tu dobrze spełniają swą rolę. Zwiedzałem takie zakłady dla rodzących i widziałem jak doskonałe są ich urządzenia. Możemy im tego pozazdrościć. Naturalnie zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa na odległych koloniach, a nawet często już w pobliżu rejonu miasta. Tam jeszcze panują stosunki zupełnie pierwotne.

Granice miasta dzięki niezwykle taniej i dogodnej komunikacji kolejowej i autobusowej rozciągają się bardzo daleko, poza granice właściwe. Te ułatwienia komunikacyjne u nas nawet w marzeniu nieosiągalne, sprawiają to, że w Rio de Janeiro np. miasto zupełnie zaczyna pochłanać to, co możnaby jeszcze nazwać wsią i produkty miasta i wsi łatwo mogą ulegać wymianie. Ginie stopniowo to, co było kiedyś miastem i wsią, a tworzy się coś pośredniego, co znacznie życie ułatwia, jakkolwiek z powodu dużych odległości od ośrodków pracy wymaga sporo czasu na komunikację.

Prostytucja jest w Brazylii silnie rozpowszechniona. Do niedawna niektóre ulice były przepełnione „kapłankami" tego kultu. Obecnie nie jest to tak widoczne. Ale choroby płciowe zwłaszcza kiła, są mocno rozpowszechnione. Od lekarzy słyszałem, że kiła jest istotną plagą w wielkich miastach. Pewien lekarz opowiada: „Spotykam dwoje narzeczonych: A, witam, idą państwo przy pięknej pogodzie na spacer? — Nie, idziemy do lekarza specjalisty po zastrzyk salwarsanu".

Oboje nie są temu winni. Kila, jak mówią lekarze miejscowi, jest bardzo często w Brazylii dziedziczną. Podaję ten ciekawy szczegół tylko dlatego, że opowiedział mi go ktoś, zasługujący na wiarę. Pomimo to, chciałbym sprawdzić jego autentyczność no i prawdziwą częstość. Należy dodać, że przychodnie dla leczenia chorób płciowych są łatwo dostępne i przeważnie bezpłatne.

Trzeba zaznaczyć, że pomoc społeczna w chorobie i zapobieganie chorobom w Brazylii coraz bardziej są udoskonałane i bardzo łatwo każdemu dostępne. Naturalnie w miastach. Tu lekarzy nie brak i słuchaczy medycyny raczej za dużo, jak mówią miejscowi. Na wsi jest znacznie gorzej. Podobnie jak u nas lekarz woli trzymać się wielkiego miasta, chociaż konkurencja jest wielka. W ostatnich czasach coraz więcej kobiet lekarzy. Trzeba jednak dodać, że studia lekarskie stoją wysoko

tylko w dwóch miastach: Rio i S. Paulo. Uniwersytet w Curitybie mocno szwankuje i lekarze stamtąd powinni by się douczać zanim zajmą się praktyką lekarską. Pragnę jeszcze dorzucić kilka słów o doli naszych kobiet na polskich osiedlach. Tutaj, o ile nasze władze polskie nie zatroszczyły się o opiekę lekarską, co się powoli w nowo powstających polskich osiedlach uskutecznia, sytuacja dla położnicy jest zupełnie prymitywna. W ciężkich przypadkach kobieta jest zdana na pomoc natury, lub niewiele umiejącej pielęgniarki wiejskiej.

W Brazylii trudno mówić o ograniczaniu potomstwa. Każde noworodzące się dziecko, to przecież w przyszłości gotowy robotnik, o którego w Brazylii bardzo trudno. To też kolonista stara się mieć co prędzej jak najwięcej pomocników i robotników „własnych". I niejednemu się to udaje dość łatwo. Nie wiem tylko, czy matka jest z tego tak całkowicie zadowolona. Widzimy rodziny mające po kilkanaścioro dzieci. Niekiedy udaje się matkom przetrzymać ten nadmierny wysiłek fizjologiczny. Ale też często kobieta umiera w wieku zbyt młodym, a mężczyzna żeni się po raz drugi i znowu przysparza sobie robotnika.

Odo Bujwid.

HALINA KRAHELSKA

Rozważania o ubezpieczeniu macierzyństwa

(Ciąg dalszy)

Sytuacja kobiety utrzymującej rodzinę wywołuje głębokie zmiany w dotychczasowym ustosunkowaniu się do zasadniczej **funkcji biologicznej, społecznej i rodzinnej**, jaką kobieta w świecie pełni: funkcji **macierzyństwa.**

Małżeństwo bowiem przestaje być dla kobiety **instancją zabezpieczającą możność macierzyństwa**, w znaczeniu zabezpieczenia materialnej egzystencji matki oraz wychowania i wykształcenia dziecka. Do omówionych już zmian i przeobrażeń natury ekonomicznej dołącza się tu jeszcze działanie innego czynnika: coraz bardziej jaskrawa **fikcyjność nierozerwalności** więzów małżeńskich; coraz bardziej **„lotny" charakter związku mężczyzny z rodziną;** coraz gwałtowniej szerząca się epidemia rozwodów i separacyj; małżeństw zawieranych powtórnie, trzykrotnie, czterokrotnie. Przy niezbyt sprawnie **funkcjonującej procedurze ściągania alimentów**, heroiczne postacie płci brzyd-

kiej, silące się na utrzymanie dwóch i trzech byłych żon prócz aktualnej, należą niewątpliwie do nielicznych wyjątków o chlubnej wrażliwości sumienia, które nic w ogólnym położeniu kobiet nie zmieniają. Pozostaje faktem niezaprzeczalnym, że podczas gdy w czasach przedkapitalistycznych możliwość **pełnej realizacji macierzyństwa i wychowania potomstwa miała zabezpieczenie w ramach rodziny**, zamkniętej komórki społecznej, **dziś rodzina tej właśnie funkcji nie wypełnia**. (Mówię — nie wypełnia — nie w tym oczywiście znaczeniu, żeby nie było rodzin, które by nie spełniały tej funkcji, ale chcę powiedzieć, że małżeństwo i rodzina nie dają już dziś kobiecie żadnej pod tym względem **gwarancji: ekonomicznie, społecznie i psychogicznie**).

Stąd prosty wniosek, że kobieta zmuszona jest dziś szukać zabezpieczenia macierzyństwa i wychowania dziecka **poza obrębem rodziny, poza osobą ojca dziecka**. I znowuż nie oznacza to bynajmniej negowania, utrącania udziału mężczyzny w utrzymaniu rodziny, skoro się sam zgłasza do tego udziału. Owszem, rodzina złożona z matki i dziecka, powiększy się wtedy o dodatkowego członka rodziny: męża i ojca, bardzo cennego w takim wypadku. Ale nie budujmy na takich opokach macierzyństwa, bo opoki te podważane tysiącem pokus w postaci: przystojnej sekretarki, nauczycielki własnej córeczki, przygodnej znajomej z wycieczki itp., staią się zbyt kruche. Nie widzę dla kobiety innego wyjścia z tej sytuacji, jak uzyskanie od państwa śród mnóstwa różnych ubezpieczeń — **państwowego ubezpieczenia macierzyństwa**.

Przewiduję opozycję w dwóch kierunkach. Po pierwsze: dlaczego kobieta ze swej własnej pracy i zdobywanych tą drogą środków do życia nie może podjąć zadania utrzymania się wraz ze swymi dziećmi? Odpowiem na to: może by i mogła, bo przecież czyni to na naszych oczach w niezliczonej ilości wypadków. Ale **nie powinna**, nie ma żadnego powodu, **ażeby na nią tylko miał spadać ten ciężar**. Kobieta — w swej funkcji macierzyńskiej zawsze **spełnia doniosły akt ofiarnictwa społecznego**. Z tego wynika, że społeczeństwo, zorganizowane w państwo, musi jej dać zabezpieczenie macierzyństwa.

Drugie pytanie, jakie przewiduję, to będzie: dlaczego nie pójść po linii obranej przez państwo przodujące dziś światu w swych próbach rozwiązania kwestii kobiecej; dlaczego skoro Rosja Sowiecka utrzymała patriarchalną formę rodziny i oparła zabezpieczenie macierzyństwa i wychowania dziecka o starą, międzynarodową i przedrewolucyjną **instytucję alimentów** (surowo ściąganych od mężczyzn przez państwo) dlaczego nie przyjąć tego wyjścia, dlaczego iść dalej od Rosji, oderwać zupełnie ubezpieczenie macierzyństwa od mężczyzny-ojca? Nie jest mi trudno odpowiedzieć na to pytanie. Dlatego proponuję inne

rozwiązanie, że sowieckie **nie wydaje mi się doskonałe.** Mężczyna, nawet pilnowany sprężyście przez państwo w swych obowiązkach utrzymywania rodziny, nie jest żadnym stałym kontrahentem i być nim nie może — jest śmiertelny; może zginąć na wojnie lub w innych okolicznościach; może opuścić kraj.; może stracić zdolność do pracy i zdobywania środków do życia. Poza tym, utrzymując tę zależność kobiety od mężczyzny, utrzymuje się w pełni okoliczność **upośledzenia psychicznego kobiety,** wyglądającej pomocy od człowieka, **który nie chce już dzielić z nią życia.** Utrzymując ekonomiczną zależność kobiety od mężczyzny, przeszkadza się jej w budowaniu własnej niezależności, opartej o własne siły i możliwości, względnie — o pomoc **zbiorowości, której służy i pracą i macierzyństwem.** W wielu przypadkach rodzina — jako instytucja wychowawcza — była i jest wylęgarnią i cieplarnią uczuć egoistycznych, często aspołecznych, postawy psychicznej, odseparowującej dziecko od społeczności. Prawdopodobnie ze świadomości tego wynika, iż nie tylko w Sowietach, ale i w kapitalistycznych państwach totalnych wychowanie dzieci usiłuje się wydobyć z rąk rodziców (przykład: Włochy i Niemcy). Dodajmy tu, że poza państwem, wkraczającym w kompetencje rodziny, wielkie organizacje wyznaniowe, w pierwszym rzędzie kościół katolicki, dokładają starań, żeby zająć miejsce wychowawcy młodych pokoleń. Dzieje się tak zapewne i z innych pobudek, ale przecież może tu działać również i świadomość wad i braków wychowawczych, w jakie obfitują przeciętne środowiska rodzinne. Skoro zaś już zaistniały tendencje wkraczania w zasadnicze zadanie rodziny, jakim jest wychowanie dzieci, czynników postronnych, skoro tendencje te ogarniają dziś olbrzymi teren co najmniej kilku państw, państw o różnych ustrojach politycznych, gospodarczych i społecznych, to trzeba mieć odwagę zrozumienia i stwierdzenia, że **rodzina zostaje przez to samo podcięta w najpoważniejszej swej funkcji społecznej.**

Pozostaję więc przy swej koncepcji **państwowego ubezpieczenia macierzyństwa kobiety.** Jak to przeprowadzić? To już jest rzecz raczej drugorzędna. Można pójść po linii opodatkowania mężczyzn z tytułu ewentualnego, wielokrotnego zazwyczaj, ich ojcostwa, mężczyzn od lat 20 do 50. Skoro mężczyźni byliby wolni od świadczenia alimentów kobietom, słusznym jest, żeby świadczyli (wszyscy) drobną część swych zarobków na rzecz ubezpieczenia macierzyństwa wprost do kasy państwa.

Kiedy w r. 1929, podróżując za granicą z ramienia stypendium rockefelerowskiego, zdobyłam informacje, iż gmina wiedeńska **(najwyższy wyraz zorganizowania opieki nad dzieckiem w świecie kapitalistycznym)** obejmuje tylko **11% dzieci** spośród potrzebujących tej opieki, zaczęłam szukać w myśli sposobów **istotnego** zabezpieczenia dzieciom możności wyżywienia i wy-

chowania. Że rodzina przestała być tą ubezpieczalnią naturalną, o tym już wtedy trudno mi było wątpić. Obliczyłam, że w drodze opodatkowania mężczyzn od lat 20 do 50 w każdym kraju, zdobędzie się środki, dostateczne dla rozciągnięcia opieki nad wszystkimi dziećmi. W międzyczasie zaistniał już we Włoszech precedens opodatkowania mężczyzn-kawalerów, wprowadzony w innym celu (zachęcenia do małżeństw), ale użytkowany, jeśli się nie mylę, **na cele opieki nad dziećmi.**

Zresztą, w moim projekcie, mężczyźni składać by się musieli na cele tego funduszu tylko w okresie przejściowym, do czasu, kiedy wprowadzi się inne zasady gospodarki, które zapewnią każdemu człowiekowi pracę. Wtedy bowiem, fundusze ubezpieczenia złożą się ze składek, które będzie wpłacała **kobieta** (drobny odsetek swych zarobków) i **państwo, jej pracodawca i wychowawca jej dzieci.** Kwestia włączenia lub nie (w ten czy inny sposób) mężczyzn do tworzenia tych niezbędnych dla państwa funduszów może być tak lub inaczej rozstrzygnięta; nie będzie to już grało zasadniczej roli. Wychodzę tu z założenia, że mężczyzna z tytułu swej roli fizjologicznej na ogół odgrywa w stosunku do ojcostwa rolę często okolicznościową. Nie chodzi tu o zapoznawanie tej roli, a tylko o **prawidłowe jej wyszeregowanie,** z którego wynika, że nie było by słusznym budować funduszów tych na mężczyźnie. Liczę się natomiast z olbrzymiej wagi czynnikiem psychicznego i moralnego odprężenia kobiety, skoro ona sama z **ustabilizowanym kontrahentem,** t. zn. państwem będzie tworzyła fundusz owego ubezpieczenia macierzyństwa. Dowodem, że kobiety widzą dziś i rozumieją konieczność poważnego zabezpieczenia najdonioślejszej funkcji społecznej macierzyństwa, mogą być obrady i uchwały różnych zjazdów kobiecych. Wspomnę w tym miejscu nie o zjazdach kobiet proletariackich, utrzymujących powszechnie w latach kryzysowych dzieci o własnych siłach, — ale o jednym ze zjazdów Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet (w roku, zdaje się, 1932) na którym wniosek o państwowym ubezpieczeniu macierzyństwa przyjęty został wszystkimi głosami przeciw sześciu (było przeszło tysiąc głosujących). Gdy dodam, że dla braku czasu nie udzielono ani pięciu minut dla jego uzasadnienia oraz, że wniosek ten spotkał się z prawdziwym entuzjazmem, chyba upoważni to do stwierdzenia, że istotnie kobiety szukają dróg zabezpieczenia macierzyństwa, zapewnienia wszystkim rodzącym się w państwie dzieciom wyżywienia i wychowania, niezależnie od łaski i woli często przygodnego lub już obcego, nawet wrogiego matce dziecka człowieka. Naprawdę wstyd pomyśleć, że oświecona i cywilizowana ludzkość, wprowadzając ubezpieczenia chorobowe, wypadkowe, życiowe, ogniowe i inne — tej zasadniczej funkcji macierzyństwa, na której spoczywa cała jej przyszłość, nie **uważała za**

potrzebne poważnie ubezpieczyć. Mało tego, pozwalamy sobie jeszcze w tej sytuacji niezabezpieczonego macierzyństwa i losu dziecka rozwijać bezmyślną propagandę wzmagania rozrodczości!

Zdaję sobie najzupełniej sprawę z tego, że podnosząc tę ideę, podniosę jednocześnie sprzeciwy. Cała nieśmiertelna dulszczyzna, która lubi deklamować o świętości rodziny, nierozerwalności więzów małżeńskich, miłości do dzieci, a jednocześnie **toleruje i umacnia prostytucję**, topienie i duszenie, podrzucanie dzieci nieślubnych, zasilanie lichej krwi paniczyków — zdrową krwią służących — ta musi uderzyć na alarm. Łatwo jednak odeprzeć ten atak, gdyż idzie o wysunięcie ważnej myśli, określonej koncepcji i projektu rozwiązania sprawy, społecznie **najdonioślejszej**, dotychczas zaniedbywanej i zapoznanej z karygodną krótkowzrocznością i lekkomyślnością.

Halina Krahelska.

DOC. U. J. DR EUGENIA STOŁYHWOWA

Wpływ ćwiczeń cielesnych na organizm kobiety w świetle zagadnień populacyjnych

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów)

Zaznaczam na wstępie, iż omówimy pokrótce jedynie zmiany w budowie ciała człowieka, a nie w czynnościach jego organizmu, powstałe pod wpływem uprawiania ćwiczeń fizycznych. Istnieje zgodność poglądów, że zwiększanie się wymiarów szerokościowych (szerokość w ramionach, obwód klatki piersiowej) pod wpływem ćwiczeń fizycznych należy uważać za zjawisko dla zdrowia dodatnie. Natomiast zdania o wpływie ćwiczeń na wymiary długościowe, np. pewne zahamowanie wzrostu u młodzieży intensywniej sportującej są podzielone. Jedni oceniają je jako zjawisko dodatnie (przeciwdziałanie powstawaniu osobników o zbyt wyciągniętej smukłej budowie), inni zaś jako ujemne, wobec braku pewności czy zahamowanie to jest tylko zwolnieniem niejako tempa wzrastania i czy może ono być w dalszych latach wyrównane.

Zwrócić należy też uwagę na wysuwane nie tylko na podstawie obserwacji, ale i przeprowadzanych w ostatnich latach pomiarów zjawisko „maskulinizacji“ postaci dziewcząt uprawiających intensywnie sport. Polegać ma ono nie tylko na odtłuszczeniu przy równoczesnym rozwoju muskulatury, ale i na zauważonych zmianach w zakresie budowy szkieletu, a mianowicie: spłaszczeniu klatki piersiowej oraz miednicy, której po-

łożenie ulega równocześnie pewnej zmianie, przy czym spojenie łonowe przesuwa się ku górze, kość krzyżowa ustawia się zaś bardziej pionowo, pociągając za sobą zmniejszenie się lordozy (wgięcia) kręgosłupa w okolicy lędźwiowo-krzyżowej. Poza tym wskazują niektórzy badacze na częste podobno zaburzenia w menstruacji u dziewcząt wykonujących zapamiętale ćwiczenia fizyczne. Zmiany powyżej wymienione nasuwają — zdaniem niektórych — obawy co do wartości ćwiczeń sportowych dla organizmu kobiety. Specjalnie **B. Skerlj** ocenia niektóre rodzaje sportów jako wręcz szkodliwe, i uważa zagadnienie uprawiania przez kobiety sportów w dzisiejszej postaci (opracowanych przecież z myślą, aby uprawiała je młodzież męska!) — jako palącą kwestię wiążącą się bezpośrednio z problemami polityki populacyjnej. Po zastanowieniu się nad każdym z powyżej przytoczonych momentów, doszłam jednak do wniosku, iż podniesiony alarm jest, być może, niepotrzebny, gdyż w tej chwili, wobec braku odpowiednich badań nie wiemy w jakiej mierze omawiane cechy „maskulinizacji" dziewcząt intensywnie sportujących, spowodowane są uprawianiem sportów, a w jakiej uwarunkowane są wpływem doboru grup dziewcząt poświęcających się specjalnie sportom i wychowaniu fizycznemu, a wreszcie jaki jest wpływ wieku na stabilizację cech np. wskaźnika klatki piersiowej.

Jeśli chodzi o zagadnienie „ciężkich" porodów nauczycielek gimnastyki i sportsmenek, to zdaniem moim poza ewentualnym wpływem doboru, winę ponosi nie tyle zmniejszenie lordozy i zmiany w ustawieniu kości krzyżowej — co daleko późniejszy w porównaniu z ogółem pierworódek **wiek pierwszego** porodu; ten zaś spowodowany jest długim okresem przygotowywania się do pracy fachowej, niechęcią zrezygnowania z kariery sportowej choćby nawet czasowo ze względu na ciążę, itd.

Najpoważniejsze wątpliwości co do wartości sportów dla kobiet wzbudza sprawa zaburzeń w miesiączkowaniu. Niestety stopień nieregularności menstruacji u kobiet niesportujących nie jest znany i wobec tego nie wiadomo czy stwierdzona nieregularność u sportsmenek i uczenic C. I. W. F. nie jest taką samą, co i u innych dziewcząt w tym samym wieku.

Reasumując sądzę, iż nie przesądzając słuszności zarzutów co do szkodliwości dla kobiet sportów i ćwiczeń fizycznych w obecnej ich postaci, należy uznać, iż zagadnienie to będzie mogło być rozstrzygnięte dopiero wówczas, gdy będziemy rozporządzać danymi co do rozwoju poszczególnych cech i przebiegu zjawisk (np. menstruacji, porodów) w grupach kobiet sportujących i nie sportujących (w tym samym wieku!), jako też co do kwestii ewentualnej selekcji w wyborze zawodów, a specjalnie kierowania się na drogę kariery sportowej.

Eugenia Stołyhwowa.

MAKSYMILIAN BORUCHOWICZ

Fizjologia rozpaczy i nihilizmu

L. F. Céline i nasze czasy

I. L. F. Céline i czytelnicy

Książki L. F. Celine'a tłumaczone były na liczne języki i wszędzie wywoływały niezwykłe ożywienie. W rezultacie — nawet ci, którzy utworów tych nie czytali, wiedzą już dzisiaj, „co trzeba o nich sądzić". Celine'a uznano za piewcę moralnego rozkładu i pesymizmu, a ponieważ cechy te zwykło się — prawem kaduka i kuchennej filozofii — łączyć z literaturą liberalną, przeto osobliwą koleją rzeczy pasowano pełnego żółci paryskiego lekarzynę ni mniej i ni więcej, tylko na patrona pisarzy postępowych. Wydaje się zatem, że o „zjawisku Celine'a" wiemy wszystko, i że więcej nie warto już do niego powracać. „Celine — możnaby określić tę świadomość — już załatwiony; teraz, proszę — następny!" A tymczasem... Celine nie tylko nie przestał być aktualny, lecz pozostał również niewyjaśniony. Owo „wszystko", co pisano o nim i co pojął czytelnik, to były przeważnie ryczałtowe pochwały lub nagany, impresje i etykiety. Nie mogą one wystarczyć, gdy równocześnie wszyscy się godzą, iż jego książki są próbówkami pełnymi zabójczych bakterii, bo bakteriami nie wystarczy ani zachwycać się perwersyjnie, ani kaznodziejsko ich potępiać.

Celine swoją nicość i swoją podłość obnaża z uporem i z zadziwiającą konsekwencją. Gdyby wyczerpywał się na tym, możnaby w stosunku do niego poprzestać na litości. Lecz Celine idzie dalej: — Jesteście — mówi do nas — jak ja podli, i jak ja — niczym. Gdyby podnosił przy tym głos, można by jego obelgi tłumaczyć podnieceniem. Celine jest jednak spokojny; nie gromi i nie wysuwa żadnych pretensji; spowiada się tylko. Nie kieruje nim żadna teoria i nie można nazwać go doktrynerem. Nie chce niczego zmieniać, nie posiada więc w sobie nic z buntownika. Jest ucieleśnioną rezygnacją i to bynajmniej nie dlatego, że sam przegrał w życiu, lecz dlatego, że to życie jest brzydkie, beznadziejne i bezmyślne. Jako taki Celine jest zjawiskiem wyjątkowym. W literaturze mieliśmy bowiem i buntowników, i skruszonych grzeszników, obrazoburców i pesymistów. Mieliśmy nawet takich, którzy głosili jota w jotę to samo co autor „Podróży"... Ale oni tylko głosili, natomiast Celine nicość i pustkę wyraża. Z teoriami łatwiej się uporać; u Celine'a argumentem jest życie.

Zrozumiejmy: tu nie chodzi ani o wstręt do książek, ani o współczucie dla bankruta — ich autora. Chodzi o nas, o na-

szą prawdę, o najosobistsze nasze sprawy. To nas postawił przecież Celine wobec ubezwładniającej pustki. Jeżeli ma rację, w takim razie, wszystko co robimy, wszystko o co walczymy i za czym tęsknimy, jest pomyłką. Jeżeli racji nie ma — trzeba mu tego dowieść. Impresje tu nie wystarczą. W tym wypadku impresje mogą być tylko zakłamaniem. Jeżeli nim nie są, są wykrętem.

II. Próba krwi

Całego siebie Celine wypowiedział już w pierwszej swojej książce, t. j. w „Podróży do kresu nocy". W następnej powieści, t. zn. „Śmierci na kredyt" ilustrował tylko dawną treść nowymi przykładami. Sięgnijmy zatem przede wszystkim do „Podróży...":

— **„Ludzie, zwierzęta i rzeczy** — pisze autor w przedmowie do tej książki — **wszystko to jest zmyślone"**. Słusznie zauważono jednak, iż fikcyjną była w „Podróży..." tylko ta przedmowa, natomiast wszystko inne *) było prawdą. Wyraźniej mówiąc: „Podróż...", podobnie jak późniejsza „Śmierć na kredyt" jest autobiografią autora i opisuje jego własne życie, wypełnione łańcuchem klęsk. Przypomnijmy: na wojnie dręczył Celine'a, występującego w książce pod nazwiskiem Bardanu, strach przed śmiercią. Zwolniony na skutek urazu nerwowego, pojechał do Afryki, za nim zaś włokło się wszędobylskie uczucie grozy. W głębi dżungli spalił powierzoną mu osadę handlową, i chory, po niesamowitej wędrówce, maltretowany i samotny, przybył do Ameryki. W Ameryce był najpierw... liczypchlarzem, później pracował u Forda w Detroit. Straciwszy posadę, został utrzymankiem prostytutki Molly. Następnie wrócił do Francji i ukończył medycynę. Jako lekarz wegetował w proletariackiej dzielnicy Paryża — Rancy. Wmieszany w kryminalną awanturę swego kolegi Robinsona, uciekł także stąd i pracował najpierw jako statysta w rewii, potem jako lekarz w zakładzie dla obłąkanych, jednak i tam, do tej ostatniej przystani, razem z osobą Robinsona dociera za nim bagno tragicznych powikłań.

Nad losami tymi rozpisywano się najszerzej. Ale czy słusznie? To prawda, że wypadki, które Celine opisał, były upiorne i okrutne. Lecz po wszystkich odkryciach naturalistów i reporterów, czytelnik współczesny — chociaż wykazuje skłonność do nieobowiązujących rozczuleń — niełatwo pozwala sobie życie na serio obrzydzić. Sprawozdawcza część „Podróży..." nie mogła być dla niego rewelacją; przynajmniej jeśli idzie o fakty. Tyle

---

*) Dodajmy za wyjątkiem szczegółów chronologicznych lub czysto zewnętrznych i nieistotnych.

tylko, że wszystkie te okrucieństwa nanizał los na życie jednego człowieka i że ten człowiek opisał je na stronicach jednej książki.

Nie były również nowością ani „niecenzuralne“ wyrazy, ani wisielcze refleksje, chociaż i jednych i drugich nagromadził Celine w liczbie zaiste przeobfitej. Więc?

Sądzę, że wyjątkowość „Podróży...“ polega w pierwszym rzędzie nie na tym co powieść zawiera, lecz na tym, że pewnych pierwiastków autor potrafił ją absolutnie pozbawić. Nie ma w niej mianowicie ani jednego momentu radości i nie ma żadnego falowania nastroju. Celine nie zanotował ani jednej chwili, kiedy był beztrosko uśmiechnięty i ani jednej minuty kiedy posiadał odrobinę nadziei. Od początku do końca jest oklapnięty, bezwolny i ponury. Zawsze się boi, zawsze czuje przy sobie i dokoła obecność śmierci i moralnego błota. Co więcej: w drugiej swojej powieści, t. j. w „Śmierci na kredyt“ cały ten nastrój cofa Celine z nienasyceniem nałogowca nawet w okres dzieciństwa. Gdyby sądzić go na podstawie tych utworów, trzeba było by się zgodzić, że człowiek ten już jako niemowlę posiadał instynktowną świadomość absolutnej rozpaczy. I że, takim będąc, szedł przez świat. Że widział w tym świecie prawie wszystko, lecz makabrycznej atmosfery nic ani na chwilę nie potrafiło naruszyć. — **„Razem wziąwszy** — wykłada — **największą klęską człowieka jest zapomnieć, a zwłaszcza to, od czego się zdychało i zdycha, nie pojmując nigdy, do jakiego stopnia ludzie są szuje. Kiedy się będzie stało nad grobem, nie trzeba będzie robić złośliwca, ale też nie trzeba będzie zapominać, trzeba będzie opowiedzieć wszystko, nie zmieniając jednego słowa, z tego co się widziało najbardziej występnego u ludzi, a potem milczeć i zejść do grobu. To wystarczy, jako zajęcie, na całe życie“** (str. 31) *). Czyli: wspomnianej przed tym świadomości żaden wypadek życia nie zaprzeczył, lecz przeciwnie — wszystko ją potwierdzało. A wniosek? Taki, że posiadając tę wiedzę, we wszystkim można widzieć bagnisty tylko rdzeń.

I oto jesteśmy u źródeł rozkładczej siły Celine'a. Ubezwładnia nas nie wiadomość o osobniku, który włóczył się, głodował i doznał obfitości krzywd, lecz czyni to wizja człowieka, który przeszedłszy przez setki sytuacyj nie napotkał niczego, co by uradowało go na przeciąg choćby jednej sekundy, niczego coby na ułamek minuty zapalało w nim iskierkę nadziei. Nastrój powyższy nie wygląda na pozę. Przeciwnie — przygniata szczerością każdej metafory i każdego zdania. Język Celine'a jest naturalny — naturalnością straceńca, metafory soczyste — soczystością trucizny, a przy tym i styl, i sądy, nawet w niedomó-

*) Cytuję według polskiego wydania „Podróży...“ w przekładzie W. Rogowicza — Warszawa 1933.

wieniach i przenośniach — idealnie jednorodne. W sumie wywołują one wrażenie błędnego koła, obejmującego wszystko i wszystkich, bez żadnego wyjątku i bez żadnego ratunku.

III. Dokument — ale czego?

Trzeba wierzyć temu kto pisał w ten sposób, że w chwili pisania tak widział swoją przeszłość naprawdę. Czy będąc subiektywnie szczery, nie mylił się jednak? Czy w rzeczywistości nie doszedł do tej wiedzy dopiero stopniowo, a pisząc książkę — czy nie antedatował nastroju? Raczej tak. Bo oto w obu jego powieściach znajdujemy opisy szeregu wypadków, co do których autor przyznaje, że posiadały taki lub inny wpływ na jego psychikę i poglądy. Po opisie upokorzenia się przed zawadiakami na okręcie, mówi np.: **„Od czasu tego wydarzenia zostałem na zawsze bezmiernie wolny i lekki, w sensie moralnym“** (str. 159). Wynik z tego, że przedtem był jednak inny. Kiedyindziej, pisząc o prostytutce Molly, żałuje, iż nie spotkał jej zanim **„stracił swój zapał na tej dziwce Mizynie i na tym małym d....., na Poli“** (str. 304). Więc i „zapału“ nie był pozbawiony odrazu, lecz stracił go wskutek szczególnych okazji. Uwagi takie, a w omawianej książce znajdujemy ich b. wiele, świadczą, że w gruncie rzeczy nihilizm Celine'a narastał etapami. Jeżeli autor przypisuje go również wczesnym wypadkom, czyni to chyba tylko dlatego, ponieważ w momencie pisania patrzył już na swoje życie przez określone okulary. — **„Wspomnienia** — mówi zresztą on sam — **mają też swoją młodość... Obracają się, skoro tylko pozwoli im się butwieć, w obrzydliwe widma, ociekające egoizmem, próżnością i kłamstwem... Gniją jak jabłka...“** (str. 433). Książki Celine'a nie obrazują więc wcale dziejów duszy Celine'a, lecz tylko i wyłącznie ostatnie stadium jego ewolucji. Poszczególne doświadczenia oglądamy w nich nie we właściwych im barwach, lecz już spoza mgły ostatecznego nihilizmu. Szczegół ten nie osłabia bynajmniej ich znaczenia. Przeciwnie: podnosi nawet ich rolę, albowieem nakazuje widzieć w nich przemożne czynniki, t. j. drożdże i bodźce do jedynego w swym nasileniu, posępnego, jak owa noc, do której kresu pisarz dotarł i rozkładczego, jak ona, nihilizmu.

Spróbujmy pokrótce te czynniki omówić.

IV. Filozofia bierności

Dominującym rysem osobowości Celine'a jest bierność, dochodząca przy wielu okazjach do stanu rozpaczliwego butwienia. Stojąc przed przeszkodą, Celine poddaje się z uległością masochisty, zanim jeszcze pomyślał o oporze: **„Nie warto się szamotać** — mówi. — **Wystarczy czekać, skoro wszystko musi**

się kończyć rozgrywaniem się na bruku" (str. 467). Cecha po=wyższa tłumaczy bardzo dużo. Wiadomo przecież, że — jak słusznie formułuje np. Brzozowski — zapomnieć można „to, co się uczyniło, nigdy to, co uczyniono z nami, co w nas wrosło". Krzywda doznana biernie, powoduje wraz z podświadomie wy=czuwaną motywacją, iż nigdy — mówiąc znowu słowami Brzo=zowskiego — „nie uczyni się niebyłym, nieistniejącym tego, co się stało". A właśnie Celine jest osobnikiem, który bywał zawsze tylko bezwolną ofiarą. Może dlatego też tak dobrze, tak upor=czywie pamięta. Dodajmy tylko, że ta bierność nie wypływa wyłącznie z jego wrodzonych skłonności, lecz że posiada swoje uświadomione motywy, i to takie, które Celine oparł na szero=kim doświadczeniu. Przyczynom tym warto przypatrzyć się nieco bliżej:

— **„Być dzielnym z takim ciałem?"** — pyta zdziwiony Ce=line. — **„Żądajcie w takim razie od glisty, żeby była dzielna, ona jest różowa, i blada, i miękka, zupełnie jak my"** (str. 62). Bierna tchórzliwość była by w takim razie rezulttem niewiary w swoje siły fizyczne. Przeświadczenie to potęguje jeszcze ciągła (z konieczności) obserwacja wycieńczonych biedaków, jak tych np. z tego **„pasa fortecznego, tej swego rodzaju wsi, co nie po=trafi nigdy wyzwolić się całkowicie z błota, wepchniętej między śmietniska i otoczonej ścieżynami, gdzie małe dziewczynki, przedwcześnie rozbudzone smarkate, unikają szkoły, żeby pod parkanami zdobyć od satyrów dwadzieścia su, kartofle smażone i rzeżączkę..."** Decydującą rolę w formowaniu się Celine'owej niewiary w ludzkie siły odegrała jednak wojna, przekonując go dogłębnie, iż człowiek, postawiony przed bijącą w niego armatą, jest niczym. **„Jest się prawiczkiem zgrozy** — czytamy w „Pod=róży..." — **jak się jest prawiczkiem rozkoszy. Jakże ja mogłem domyślać się tej zgrozy, opuszczając plac Clichy?"** (str. 17). Przed armatnimi strzałami ratuje nie siła, lecz wykręt; Celine stał się z tego powodu „dość — jak powiada — **praktyczny, żeby być skończonym tchórzem"** (str. 46). Wojna obrzydziła mu brawurę również z innego względu. Podczas wojny przeko=nał się mianowicie, **„co zawiera w sobie ludzka, plugawa dusza bohaterska i wałkońska"** (str. 18).

V. Nędze sprawiedliwości

Czynnikiem, wyrównującym do pewnego stopnia poczu=cie własnej bezsiły, mogło by być przeświadczenie, że istnieją władze, które każdy przedłożony im konflikt sprawiedliwie roz=sądzą. Cóż z tego, kiedy Celine widział również podszewkę do=czesnej Temidy. W Afryce, przebywając w gościnie u Euro=pejczyka sądzącego tubylców, z własnych ust szanownego arbi=tra dowiaduje się, czym ten ostatni w wyrokowaniu się kie=

ruje: — „**Gdyby oni wszyscy wiedzieli** — wyznaje sędzia — **jak ja pluję na ich spory, nie wychodziliby ze swej puszczy, żeby mi tu opowiadać swe bzdury i zawracać mi głowę!**" Gentleman ten wynalazł nawet sposób, nieskuteczny wprawdzie, lecz dotkliwy, żeby wybić petentom mniemanie o swojej uczciwości. Za każdym razem rozkazuje mianowicie, niezależnie od treści konfliktu, wychłostać obie strony. Przed Celine'm żali się z melancholią: „**Gotów jestem uwierzyć, że moja sprawiedliwość przypada do smaku tym świntuchom!... Od dwóch lat staram się ją im obrzydzić, a mimo to przychodzą co czwartek... ...Zwyrodnialcy, czy co!**... (str. 206).

Nienajlepsze mniemanie posiadł Celine również o policji krajów „kulturalnych", skoro widząc posterunkowego w New Yorku, powiada: „**Gdziekolwiek się człowiek znajdzie, z chwilą gdy ściąga na siebie uwagę władzy, najlepszą rzeczą jest zniknąć i to czym prędzej. Bez tłumaczenia się. W przepaść!...**" (str. 259). W sumie: „**Prawo to jest wielki „Luna-Park" boleści. Kiedy nędarz da mu się pochwycić, słychać jego krzyk potem wieki całe**" (str. 232)).

Tak więc: widok sędziów, wykpiwających wyrokami własny urząd i oparte na faktach przekonanie, że władze mijają się ze swoimi zadaniami, stanowi jedną z najistotniejszych przyczyn Celinowego nihilizmu.

VI. Nonsens triumphans

Może... Może gdyby wierzył, iż ludzkość kieruje się rozumem, uwierzyłby również w możliwości zmiany, w jakiś sens życia. Życie uczyniło jednak wszystko, żeby go takiej wiary pozbawić. Także tutaj zadecydowały doświadczenia wojenne: „— **Więc nie pomyłka** — woła autor „Podróży..." — **Tak kropić do siebie nawet się nie widząc, co tu robiono, to było zabronione!**" (str. 18). W innym miejscu zazdrości koniom, „**gdyż jeśli również znoszą wojnę jak my, to nikt od nich nie żąda, żeby się na nią pisali, żeby udawali, że w nią wierzą**". I okrzyk: „**Nieszczęśliwe, ale wolne konie! Entuzjazm niestety jest tylko dla nas, ta k...!**" (str. 47). Wreszcie na innym miejscu konkluzja: „**Gdy przyszedł moment, że świat stanął do góry nogami i że jest wariatem ten, kto pyta, dlaczego go zabijają, jest oczywiste, że uchodzi za wariata tanim kosztem**" (str. 81). Innymi słowy: aprobowanie i uświęcanie jaskrawych nonsensów w skali społecznej, prowadzi następnie do absolutnego wątpienia o wszystkich wartościach.

VII. Popłatność zakłamania

Wróciwszy z frontu do Paryża, Celine, kierowany chęcią zaimponowania „patriotom", wygłaszał heroiczne banialuki, fantazjując na temat własnych walk i wojskowej brawury. Osobiś-

cie uważał te historie za stek idiotyzmów, za ordynarne „brechty“. Inaczej oceniali je jednakowoż słuchacze. Sprowadzono nawet poetę, który nonsensy owe z pietyzmem zapisał i literacko je opracował, poczem — udramatyzowaną elukubrację wystawiono w „Komedii Francuskiej“. Autorów obdarowano i urządzono im owację. Celine, chociaż osobiście uważał te produkty za brednie, kłamie już odtąd jak automat. Wyjaskrawia nawet nonsensy, ponieważ zyskał odrazu konkurentów, posiadających podobne jak on przekonania i intencje. Wypadek ten oraz szereg podobnych przekonało Celine'a, że nie warto bronić swojej prawdy, bo prawda tylko przeszkadza, gdy zakłamanie tymczasem zdobywa powodzenie i nienajgorzej popłaca.

VIII. »Doktrynerstwo« i dezynwoltura uogólnień

Zrozumiałą jest rzeczą, że wyszczególnione powyżej doświadczenia nie mogły osłabić nihilistycznych skłonności. Mogłaby je natomiast osłabić prosta, lecz głęboka świadomość, że wszystkie te doświadczenia nie wyczerpują wcale możliwości, ponieważ są one jednymi tylko spośród wielu przejawów życia. Słowem: bronią przeciw nihilizmowi mógł być jasny, zrównoważony krytycyzm. Tymczasem takiego krytycyzmu Celine niestety nie posiadał.

— **„Myśl moja** — wyznaje on z właściwą mu otwartością — **potrzebowała popychania jej, tak samo jak moje życie“** (str. 358). Do filozofii i do wszystkich teorii odnosił się Celine z nienawiścią i nienawiści tej bardzo często daje dosadny wyraz. Typowa pod tym względem jest np. tyrada przeciw filozofom francuskiego oświecenia, włożona co prawda w usta b. profesora historii, lecz oddająca niewątpliwie poglądy samego Celine'a. W tyradzie tej Diderot i Voltaire przedstawieni są jako sprawcy wszystkich nieszczęść ludu, bo **„nie dadzą ludowi zdechnąć w ciemności i fetyszyźmie! Oni mu wskazują drogi do wolności! Oni go emancypują! To poszło ostro! Niech wszyscy umieją przede wszystkim czytać gazety! W tym jest zbawienie! Psia wasza mać!“ itd. „Filozofowie** — mówi jeszcze z szyderstwem — **to są ci, zanotujcie to sobie... ...co zaczęli od opowiadania bajek poczciwemu ludowi. który znał tylko katechizm!“** (str. 68).

Jako taki jest Celine typowym uosobieniem modnej dziś krucjaty przeciw „doktrynerom“ i „doktrynerstwu“ w przeobszernym i elastycznym tych wyrażeń znaczeniu. I podobnie, jak polityczni „pogromcy doktrynerstwa“, socjologię zastępuje on namiastkami, teorie — małodusznym ostrowidztwem, a naukowe, żmudne rozumowanie — beztroskim i opartym tylko na chwilowym nastroju uogólnieniem pojedynczych faktów. Jest żółciowym ostrowidzem i w każdym szczególe umie dopatrzyć

się tylko brzydoty. Kieruje nim płaski utylitaryzm, wyrażający się w niedocenianiu dalszych perspektyw. Utylitaryzm ten choruje przy tym na metafizyczną rozedmę, a uogólnienia bywają tym łatwiejsze, ponieważ Celine nie raczy doceniać różnicy stopnia i każde — byle ujemne głupstwo — widzi w stopniu najwyższym oraz demonicznie zabarwione. Posługując się taką metodą, łatwo oczywiście pierwszym lepszym drobiazgiem „pognębić" wszystkie przesłanki każdej „humanitarno-masońskiej" filozofii.

IX. Wolny od »masońskich« sentymentów

Łatwo jeszcze dlatego, ponieważ humanitarnych przywar pozbawiony był Celine również w dziedzinie odczuwania. Nie ma w nim mianowicie nic z naturalnej sympatii. Nie ma żadnego sentymentu dla człowieka. Jest tylko wrogość i nieufność. W „Mea culpa" cytuje np. z satysfakcją aforyzm J. Renarda, że **„nie wystarczy być szczęśliwym, trzeba, żeby inni nimi nie byli"** *) W rezultacie nie ma mowy, żeby Celine coś dla kogoś uczynił, coś poświęcił. Do nikogo, chociaż okazyj było dosyć, nie odniósł się z serdecznością. A ponieważ tak już bywa, że nie dając nic z siebie, niewiele możemy również — przynajmnej w sferze uczuciowej — skorzystać, przeto trwał i butwiał w rozgoryczeniu. Nie chciał o tym wiedzieć i pamiętać, chociaż miewał sposobności, by się o tym przekonać. Oto np. w Afryce spotkał niejakiego Alcyda, który skazuje się sam na **„unicestwienie swego biednego życia w tej skwarnej monotonii"**, który głoduje i oszczędza, byle tylko utrzymać ułomną dziewczynkę, daleką swoją i daleko od niego żyjącą krewniaczkę. Czynił to **„bez targów, bez żadnego zysku, prócz zaspokojenia potrzeby swego dobrego serca"**. Celine notuje: **„Wyraźnie Alcyd poruszał się w wyższych regionach z całą swobodą i, że tak powiem, poufale, był na „ty" z aniołami, ten mój kamrat, a nic na to nie wyglądał... ...Ofiarował tej dalekiej dziewczynie dość tkliwości, żeby nią przerobił cały świat, i tego nie było widać"** (str. 214). Alcyd posiadał dzięki temu sens życia i dlatego nie był samotny. Nawet Celine nie może się tym razem powstrzymać od refleksji, iż **„przecież nie było by takie głupie, żeby istniało coś, po czym możnaby odróżnić dobrych od złych"**. Stwierdźmy: bywa samotność obrazoburców i bywa samotność egoisty; ofiarą tej ostatniej był autor „Podróży..."

X. Céline — moralista

Wolny od liberalnych upodobań był Celine również w dziedzinie erotyki. I niechaj nikogo nie myli znajdująca się w jego książkach obfitość „niemoralnych" wyrażeń lub opisów,

*) L. F. Celine: „Mea culpa", Lwów—Warszawa—Kraków, str. 21.

albowiem wszystko to jest przecież tylko i wyłącznie uzewnętrz=nieniem arcy=„moralnej“ obsesji. Sprawy ciała uważa Celine najwyraźniej za wstrętne. I jak zwykle w takich wypadkach wyobraźnia jego pławi się w seksualnych symbolach. Tropi każdy wariant tych spraw i opisuje je z niepohamowaną roz=lewnością. Nie uznaje żadnych okoliczności łagodzących, nie widzi w erotyce nic prócz pierwiastków plugawych. A ponie=waż erotyka zajmuje w życiu ludzkim sporo miejsca, przeto w książkach Celine'a rośnie irytująca lawina zadków, nóg itd., autor zaś musi żywić wstręt i do swoich partnerek, i do wszyst=kich, którym te sprawy nie są obce.

Wreszcie — nie pohańbił się również Celine poczuciem humoru. Tragizuje ponuro wobec każdego głupstwa. Nie zna ani pobłażliwości, ani wyrozumiałego uśmieszku.

XI. Wnioski

Zamiast konfrontacji źródeł Celine'owego nihilizmu z epoką, w której na nasze szczęście czy nieszczęście — przy=padło nam uczestniczyć, wystarczy wyliczyć krótko omówione pierwiastki. Przypomnijmy zatem: Nihilizmowi temu patro=nuje absolutna bierność. Bierność jest wynikiem przeświadcze=nia, że przy największych nawet wysiłkach okażemy się bez=silni wobec zorganizowanej przemocy. Potęguje to przeświad=czenie widok kpiących ze sprawiedliwości sądów i władz. Ma=sowe psychozy i „imprezy“, sprzeczne z prymitywnym rozsąd=kiem, powodują niewiarę w rolę rozumu. Demoralizację psy=chiczną gruntuje nadomiar fakt, iż zakłamanie i wygłaszanie nonsensów bywa dobrze opłacane. Wszystko to nie napotyka na żaden opór wskutek wrażliwego stosunku do teoryj, które mogłyby określone błędy ukazać w odpowiednich proporcjach; przeciwnie: nihilistyczne skłonności znajdują jeszcze sprzymie=rzeńca w płaskim utylitaryzmie, w łatwych uogólnieniach i w dezynwolturze wartościowań. Łańcuch zamyka progra=mowa wrogość wobec ludzi i sobkostwo, osamotnienie wypły=wające z egoizmu, rygorystyczny i sprzeczny z instynktem sto=sunek do erotyki, ryczałtowość osądów i brak poczucia hu=moru.

Wymienione pierwiastki bywają zwykle nieodłącznymi składnikami światopoglądu i urządzeń, mających na celu osią=gnięcie „krzepy“. Ale „krzepy“ nie osiągają. Osiągają nato=miast nihilistyczny rozkład, pokryty mniej lub więcej emalią równie powierzchownych jak krzykliwych haseł i sloganów. Ten zaś, kto by pragnął pojąć ostatnie konsekwencje takich dróg, niechaj wmyśli się w książki Celine'a. W rozpacz abso=lutnej obojętności, nieświadomej już **„kogo zbudzić w pamięci, żywych czy umarłych“** (str. 225). W wyznanie, że widzi się

„wszędzie tylko mroczne i stare bzdury, fermentujące w ciałach mniej lub więcej świeżych...“ (str. 496). W cały ten świat Celine'owy bez uśmiechu i bez nadziei. W bagnistą noc i śmierć.

Natomiast życie wymaga aktywności i dążenia; dążenie — określonego celu, cel — perspektyw. Perspektywy wymagają wiary w rozsądek; rozsądek — krytycyzmu, dalekiego od żółciowego ostrowidztwa, lecz doceniającego różnice podobnych nawet z pozoru zjawisk. Sens życia wymaga, żeby nie uświęcać bredni, żeby sędziowie byli ludzcy, a władze wyrównywały przepaści. Żeby cenić szczerą myśl i nie wynagradzać cynicznych zakłamań. Higiena psychiczna wymaga pamiętania, że człowiek może żyć tylko z ludźmi, współżycie zaś — tych wszystkich wartości, które zbyt lekkomyślnie otoczono pogardą ponurej małoduszności, wyszydziwszy nawet ich nazwę: humanitaryzmu. Kto tego nie pojmuje, ten nie ma prawa wyrzucać Celine'owi jego trującej aury. Ci wszyscy zaś, którzy kultywując w znoju i trudzie składniki omówionego nihilizmu, oburzają się równocześnie w kaznodziejskim uniesieniu na „rozkładczość“ i na „miazmaty“ Celine'a, przypominają przysłowiową małpkę. Małpkę, pragnącą rozbić zwierciadło, w którym ujrzała własne oblicze.

Maksymilian Boruchowicz.

INŻ. HENRYK JASIEŃSKI

Parę prawd oczywistych .. i ogólnie wiadomych, o których się nie pisze i nie mówi publicznie*)

Autorowie piszący o zagadnieniach populacyjnych przyjmują na ogół milcząco i bez bliższego rozpatrywania, że przyrost ludności jest zależny od warunków gospodarczych. Obfitość środków utrzymania, łatwość dostania zarobku, swoboda emigracji i imigracji ma wywoływać podnoszenie się rozrodczości, brak środków żywności, trudność znalezienia zarobku, niemożność swobodnego poszukiwania odpowiednich warunków życia — jej zahamowanie.

Gdy wbrew temu uproszczonemu schematowi okazuje się, że środowiska najzamożniejsze wykazują wcale nie największy, ale właśnie najmniejszy przyrost, szuka się przecież sposobu żeby i dla tego zjawiska wynaleźć jakieś umotywowanie gospodarcze. A więc motywem skłaniającym do ograniczania ilości urodzeń ma być rzekomo rozbudzona przez dobrobyt chciwość i płynąca stąd niechęć do narażania się na wydatki, do dzielenia majątkiem itp.

To wyłączne decydowanie „czynników" ekonomicznych, a ujmując rzecz konkretniej **pobudek** i **wyrachowań** wyłącznie tylko pieniężnych wydaje się widocznie czymś „naukowo stwierdzonym", skoro nikt tego nie podaje w wątpliwość. A jednak, gdy pomyślimy o zagadnieniach populacyjnych, jako o czymś znanym nam przecież nie tylko ze statystyki, ale także z bezpośredniego codziennego doświadczenia, ta wyłączność motywów gospodarczych w sprawach tak bardzo intymnych i osobistych musi się nam wydać mocno podejrzana, a wiara w nią wysoce komicznym, a zarazem irytującym dowodem naiwności, albo niesumiennej powierzchowności ludzi rezygnujących nagle całkowicie ze swego **prywatnego** doświadczenia z chwilą gdy przystępują do pisania albo mówienia czegoś na użytek **publiczny.**

Względy gospodarcze odgrywają niewątpliwie dużą rolę w ludzkich zamiarach i decyzjach, ale jednak nie są to względy **jedyne,** ani nawet najsilniejsze. Nie będzie to żadną rewelacją, jeśli powiem, że silniejszą jeszcze od obawy przed zubożeniem,

---

*) W dążeniu do zbicia rozpowszechnionych „kłamstw konwencjonalnych" artykuł niniejszy przedstawia niektóre sprawy w sposób niewątpliwie jaskrawy i jednostronny. Jednakże przez to właśnie ilustruje on dobitnie pewne „nastawienia" istniejące i działające w coraz to szerszych kołach środowisk kulturalnych, i dlatego drukujemy go bez zmian i złagodzeń, których każdy czytelnik sam dokona z łatwością. (Uwaga red.).

przed wzięciem na siebie nadmiernych ciężarów finansowych, jest elementarna, czysto fizyczna obawa przed chorobą, kalectwem i śmiercią. Otóż urodzenie dziecka to przecież dla kobiety ryzyko najokropniejszej śmierci, a wielkie prawdopodobieństwo nieodwołalnego zrujnowania zdrowia. Wystarcza zresztą najprawidłowszy „normalny“ przebieg tych procesów fizjologicznych, nawet bez żadnych wyraźnie chorobowych następstw, żeby wywołać odruch przerażenia, buntu i protestu w każdej niezupełnie stępionej wrażliwości. Niepodobna też przypuścić, żeby groza i potworność tych spraw, tak wstrząsająco działająca na wyobraźnię i uczucie, mogła nie wpływać na decyzję tam, gdzie przewidywanie i świadoma decyzja w ogóle zaczyna odgrywać jakąkolwiek rolę. I napewno też te względy, powiedzmy fizjologiczne, odgrywają rolę bez porównania większą od jakichkolwiek względów finansowych, a kto wie nawet, czy nie zupełnie wyłączną.

Wpływ warunków gospodarczych na te sprawy może być tylko **pośredni** *). Po prostu środowisko **zamożniejsze,** to zarazem środowisko **bardziej kulturalne,** o obyczajowości **łagodniejszej.** W lżejszych warunkach życia dochodzą do głosu, obok ślepego instynktu, takie czynniki jak rozwaga, przewidywanie, poczucie odpowiedzialności, oraz takie uczucia jak życzliwość i przywiązanie, które nakazują liczyć się z cudzym życiem i zdrowiem.

Natomiast środowisko ubogie, to zazwyczaj zarazem środowisko pierwotniejsze, surowe i twarde, bezwzględne i okrutne, a przy tym bezmyślne i bezradne. Bezmyślna brutalność mężczyzn, w połączeniu z bezradną biernością kobiet powoduje właśnie ową wysoką rozrodczość, sławioną przez niesumiennych, czy tylko bezmyślnych moralistów jako dowód rzekomego zdrowia moralnego i tężyzny fizycznej. W rzeczywistości ta wysoka rozrodczość jest takim samym objawem lekceważenia cudzego zdrowia i życia, jak popularne w tych płodnych środowiskach rozbijanie łbów i wypuszczanie flaków na każdym weselu i odpuście.

Taka właśnie, a nie inna jest prawda o związku pomiędzy etycznym poziomem środowiska a jego rozrodczością, i inna

---

*) Jednakże silny spadek stopy urodzin jaki się zaznaczył w Polsce w roku bieżącym, trzeba zdaje się przypisać bezpośrednim wpływom stosunków gospodarczych. Wynika on najprawdopodobniej, jak to trafnie w tym wypadku określa p. F. Z. w I. K. C. z pesymistycznej oceny przyszłych możliwości zarobkowych przez nowo zawierane małżeństwa. W sferach nieco zamożniejszych, o ustalonych, choć nawet skromnych dochodach takie wahania koniunkturalne nie odgrywają oczywiście żadnej roli, jednakże w sferach najszerszych i najuboższych kwestia zarobku to nieraz zupełnie bezpośrednio „kwestia życia i śmierci“ ...śmierci głodowej, i przy pewnym minimalnym uświadomieniu warunki ekonomiczne mogą tu wpływać bezpośrednio na decyzję. (Przyp. red.).

nie tylko nie jest możliwa, ale nie da się w ogóle pomyśleć bez grubego naciągania. To też spadek rozrodczości w miarę podnoszenia się poziomu kulturalnego i obyczajowego jest równie zrozumiały jak nieunikniony.

Człowieka myślącego logicznie nie mogą ani trochę zadziwić te próbne fragmentaryczne statystyki, które wykazują, że w kulturalnych, inteligentnych sferach nawet najbardziej płodnych społeczeństw ilość małżeństw bezdzietnych przenosi 40%, a ilość małżeństw mających więcej niż jedno dziecko nie dochodzi do 20%. Raczej dziwić się trzeba, że spadek stopy urodzeń nie jest w tych sferach jeszcze znacznie większy, a nawet, że w ogóle znajdują się tu osoby dające się uwikłać w sprawy, na które normalna uczuciowość może przecież reagować tylko przerażeniem, zgrozą i zdecydowanym postanowieniem, żeby nigdy z nimi nie mieć żadnej styczności.

Widocznie od zgrozy silniejsza jednak nieraz bywa chorobliwa ciekawość (bo tak to się w końcu przedstawia pod względem psychologicznym), a zapewne też trzeba przyjąć działanie instynktu rodzicielskiego, czy specjalnie macierzyńskiego, „irracjonalnego", a więc nie podlegającego dyskusji, który pozwala pod wpływem przesłaniającej rzeczywistość egzaltacji, godzić się chwilowo z rzeczami w stanie normalnym niemożliwymi do przyjęcia.

Przypuścić jednak można, że dla zaspokojenia zarówno ciekawości jak i instynktu powinno wystarczyć posiadanie jakiegoś jednego dziecka. Przypuszczenie to zdaje się potwierdzić wielka ilość jedynaków w środowiskach inteligenckich i pracujących umysłowo. Oczywiście groteskowym nonsensem jest przypuszczenie, że odgrywają tu rolę jakieś przewidywania spadkowe. Znacznie naturalniej jest przypuścić, że po prostu tam gdzie nieświadomość czy lekkomyślność odważy się nawet raz jeden na poniesienie nieznanego bliżej ryzyka, jednorazowe doświadczenie wystarcza jednak na to, żeby podobnego eksperymentu nie powtórzyć już po raz drugi.

Oczywista niezależność pobudek powodujących obniżenie ilości urodzeń od jakichś rzekomych pieniężnych wyrachowań każe się też zbytnio nie przejmować próbami podniesienia ilości urodzeń za pomocą środków pieniężnych. Choćby nawet państwo „płaciło za dziecko" tyle, ile kosztuje jego utrzymanie aż do rozpoczęcia zarobkowania po ukończeniu wyższych studiów, to i tak pozostaje coś, czego nie wyrówna żadna zapłata, a co wystarcza, żeby domniemani przyszli rodzice na to dziecko się nie odważyli, jeśliby się na nie nie odważyli także i bez zapłaty.

Jak się też można było spodziewać, a jak wynika z cyfr przytoczonych i skomentowanych przez p. red. Szczepańskiego

nagłe podwojenie przyrostu w Niemczech hitlerowskich *) przypisać trzeba nie faworyzowaniu gospodarczemu liczniejszych rodzin, ale bodaj wyłącznie represjom, skierowanym zresztą przede wszystkim przeciw takiej formie regulowania przyrostu, która jest czymś fizjologicznie bardziej jeszcze potwornym, niż sam nieregulowany przyrost.

W gruncie rzeczy niezależnie od takiej czy innej polityki populacyjnej sprawy te układają się zawsze wedle jednego i tego samego schematu, znanego zresztą i zupełnie zrozumiałego:

w środowiskach uboższych, ale zarazem brutalniejszych, w których kobieta jest upośledzona i poniewierana, mamy zawsze wysoką ilość urodzeń, wraz z poronieniami, co wynika z jednych i tych samych przyczyn i na jedno nieomal w rezultacie wychodzi.

Natomiast w środowiskach zamożniejszych, ale zarazem i kulturalniejszych, o łagodniejszej obyczajowości, w których kobieta ma faktyczne równouprawnienie i swobodę rozporządzania swoją osobą, ilość urodzeń spada bardzo znacznie. Wiadomo, że w sferach najinteligentniejszych, pracujących umysłowo dziecko staje się nieomal osobliwością, zwracającą uwagę i wzbudzającą pewną sensancję. Nie jest ono bowiem tutaj rezultatem przypadku, brutalnego gwałtu i bezradnego załapania, ale na ogół biorąc wynikiem określonego i uświadomionego pragnienia. A pragnienia takie nie są wcale tak powszechne i silne, jak się to oficjalnie przyjmuje, i niezawsze też wystarczają do przezwyciężenia znacznie bardziej określonych obaw i wstrętów. Są one może nawet wyjątkowymi objawami chorobliwej poniekąd egzaltacji, o charakterze wyraźnie „masochistycznym“, zbliżonym do jakiegoś „głodu męczeństwa“. To uderza coraz więcej przy zwiększonym działaniu samowiedzy i krytycyzmu i sprawia, że uleganie tym pragnieniom staje się coraz bardziej „niemożliwym do pomyślenia“.

Nie ulega też wątpliwości, że w miarę wzrastania zamożności, a pośrednio także i kultury stopa urodzeń będzie nadal

*) Przy sposobności warto zaznaczyć, bo może nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, że temu reklamowanemu podwojeniu przyrostu ludności w Niemczech nie odpowiada wcale znów tak bardzo wielki wzrost ilości i stopy urodzeń. Stopa urodzeń (około 15$^0/_{00}$) przed przewrotem hitlerowskim, wzrosła po nim zaledwie do około 18$^0/_{00}$ a więc nawet i teraz nie jest wyższą niż stopa urodzeń „wyludniającej się“, a w każdym razie ludnościowo ustabilizowanej Francji. W miarę przesuwania się klas wieku na niekorzyść roczników młodszych, co nastąpić musi wskutek niskiej stopy urodzeń w czasach wojennych i powojennych, stopa umieralności będzie stopniowo doganiała stopę rozrodczości, której po użyciu i wyczerpaniu jedynego środka, jakim były wiadome represje, żadnymi ulgami i opłatami podgonić się już zapewne nie da. W ten sposób, w stosunkowo krótkim czasie, przyrost znów może opaść, nawet i do zera. Z tego właśnie powodu podnoszą taki krzyk populacjoniści niemieccy. Miejmy nadzieję, że nie tak znów całkiem bez żadnego powodu.

w naturalny sposób spadać, pomimo wszelkich prób przeciw= działania, powodujących miejscami **sztucznie** chwilowy jej wzrost. Możemy być nawet pewni, że wszelkie pociągnięcia społeczne i gospodarcze, przedsiębrane z jakichkolwiek pobu= dek, choćby otwarcie imperialistycznych, jeśli tylko naprawdę podniosą dobrobyt, a pośrednio kulturę jakiejś grupy ludności, przyczynią się w rezultacie, wbrew zamierzeniom inicjatorów, do obniżenia jej rozrodczości.

Jest to oczywiście pociecha tak słaba, jak powolnym jest, mimo gwałtownego postępu techniki, wzrost dobrobytu oraz wewnętrznej kultury moralnej i obyczajowej. Można się słusz= nie obawiać, że „zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje", że za= nim się doczekamy stabilizacji zaludnienia ziemi, rosnące wciąż masy ludzkie emigrując, kolonizując, wycinając lasy, zaorywu= jąc stepy, eksploatując rabunkowo rośliny i zwierzęta, zamienią całą ziemię na spustoszony fabryczny śmietnik, i wówczas do= piero zaczną na nim wymierać z czczości, nudy i obrzydzenia.

Jak bowiem dowodzą wypadki ostatnich czasów, a zwłasz= cza popularność wiadomych „bohaterskich" ideologii zarówno z prawej jak i z lewej strony zapas chamstwa i bezmyślności, bierności i okrucieństwa jest jeszcze tak ogromny, że starczy go na podtrzymywanie wysokiej stopy przyrostu ludności na długo jeszcze i w wielu krajach, na pozór nawet najbardziej kulturalnych.

Ale cokolwiek się stanie, niezależnie od naszych życzeń, obowiązkiem pozostaje w każdym razie korzystanie ze sposob= ności powiedzenia **prawdy,** zwrócenia uwagi na pewne niewąt= pliwe związki i zależności, tam zwłaszcza, gdzie prawda bywa szczególnie gorliwie przeinaczana i przemilczana.

Henryk Jasieński.

DR PAWEŁ KLINGER

Trucizna

Przed kilku miesiącami doniosła prasa codzienna o sensa= cyjnym mordzie, dokonanym pod Wiedniem przez szajkę mło= docianych bandytów, z których najstarszy liczył zaledwie lat 20. Zamordowaną została podczas przejażdżki autem córka posła Paragwaju w Wiedniu, młodziutka, piękna Ingrid Wiengreen. Morderstwo miało charakter rabunkowy. Schwytani sprawcy przyznali się do zbrodni, twierdząc, że zorganizowali szajkę ce= lem napadania na samochody i że **zbrodnię popełnili pod wpły= wem filmów kryminalnych!** Jako lekarz i publicysta uważam

za swój obowiązek zabrać głos w tej palącej i, niestety, niesporadycznej sprawie.

Nie po raz pierwszy popełnia młodzież zbrodnię pod wpływem filmów kryminalnych, wzorując się na najdoskonalszych metodach „pracy" amerykańskich gangsterów (sprawa porwania Budzynera) i od nich też przejmując „technikę", codziennie pilnie studiowaną w kinach. Tego rodzaju filmy wybierają zwłaszcza kina na przedmieściach, albowiem tam cieszą się one, ze zrozumiałych względów, największą frekwencją. Obrazy te, obficie naszpikowane bandyckimi atrakcjami, stanowią często jedyny pokarm duchowy dla maluczkich i ubogich duchem. Przez długie godziny migają przed oczyma widza karkołomne gonitwy na koniach, autach, ostrzeliwujących się wzajemnie z karabinów maszynowych, napady, zabójstwa rabunkowe, więzienia, kajdanki ręczne i nożne, rewolwery różnych systemów, noże, sztylety, trucizna, lasso, boks i wszelkiego rodzaju mordobicie, pożary, gwałty itd. Oto w streszczeniu żelazny repertuar tego rodzaju filmów, które trzeba aż sprowadzać z Ameryki, gdzie filmy tego rodzaju produkuje się na eksport dla dzikich mieszkańców stepów i poszukiwaczy awantur i złota, jak mnie poinformowała pewna Amerykanka oburzona do żywego, że nazywamy te obrazy filmami amerykańskimi: „Jako Amerykanka, mówię szczerze, że **to są amerykańskie śmiecie!** Prawdziwych i wartościowych filmów amerykańskich wy tu nie macie". Nie mniej ciekawe były dalsze refleksje tej Amerykanki na temat powyższy: „Gdym się tu z początku pytała, dlaczego nie dajecie czegoś lepszego, odpowiadano mi, iż szersze masy nie interesują się tym. Pomyślałam wówczas, że to gust tutejszy. Ale później przekonałam się, że jest inaczej. Bo któżby się kochał w ciągłych okrucieństwach? Chyba człowiek zwyrodniały, a takimi przecież Polacy nie są". Oto charakterystyczne wynurzena Polki z Ameryki, którą uderzył dobór programów w naszych kinach, oczywiście nie wszystkich na szczęście.

Nie warto było by zaprzątać sobie uwagi tymi „śmieciami" jak je dosadnie, lecz sprawiedliwie określiła wymieniona Amerykanka, gdyby nie fatalny wpływ jaki podobne obrazy wywierają na bezkrytyczną publiczność, a zwłaszcza na naszą młodzież. Zewsząd słyszy się skargi na zachowanie się dzisiejszej młodzieży, na jej zdemoralizowanie, i skłonności do okrucieństw, a jednak nic się dotychczas nie czyni, aby przeciwdziałać jawnie **rozszerzanej demoralizacji przez filmy kryminalne.** Nie ulega kwestii, że filmy tego rodzaju są „kasowe", gdyż z góry już są obliczone na najniższe instynkty ciemnych mas; to też **siedząc** w kinie, ma się wrażenie, że jest się w wyższej akademii zbrod**niarzy, gdzie uczą wszelkich sposobów mordu, rozboju, pod-**

palania i bezkarnego uchodzenia z rąk sprawiedliwości! Uderzającym jest fakt, że **właśnie na takie filmy „wstęp dla młodzieży jest dozwolony"**, natomiast przy wyświetlaniu filmów naukowych, zwłaszcza biologicznych, czytamy na afiszach: „tylko dla dorosłych".

Amerykanin **Balmore Silvan wydał** przed kilku laty specjalną **pracę poświęconą badaniom nad wpływem kina.** Opisał nawet typ człowieka, kształtującego się pod wpływem kina. Nas bardziej interesuje wpływ kina na młodzież dorastającą i na dzieci. Otóż nie ulega wątpliwości, że **kino, które posiada duży wpływ na młodzież, często jest demoralizatorem dzieci, kuszącym i podszeptującym im złe myśli i czyny;** najwymowniej świadczą o tym przytoczone na początku wypadki, a podobnych możemy podać niezliczoną ilość. Dla lepszej ilustracji pozwolę sobie w streszczeniu przytoczyć jeszcze dwa wypadki przestępstw dokonanych przez młodzież pod wpływem kina. Sąd paryski rozpatrvwał w swoim czasie sprawę dwóch nieletnich zbrodniarzy, którzy wymordowali rodzinę, składającą się z pięciu osób. Jeden z tych zbrodniarzy miał 18 lat, a drugi — 16; obydwaj zeznali, że zbrodni dokonali pod wpływem kina, dokąd uczęszczali za ostatnie grosze, wyrzekajac się częstokroć jedzenia. Na zapytanie przewodniczącego na jakie obrazy lubili chodzić, odpowiedzieli zgodnie, że tylko na takie, gdzie były zbrodnie, pościg, detektywi i różne przygody i awantury. W drugim wypadku chodziło o 14-letniego zbrodniarza, który zamordował swą opiekunkę. Ten tłumaczył się, że w dniu zbrodni był w kinie i widział scenę mordu, i to mu podsunęło myśl powtórzenia jej na swej opiekunce.

Sądy dla nieletnich przestępców w Ameryce stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że **82.6% zbrodni zostało dokonanych podług „recepty" filmów kryminalnych!** Wiedzą o tym dobrze detektywi amerykańscy, którzy w wypadkach oryginalnej metody zbrodni przeglądają filmy i prawie zawsze znajdują taki, który rozwiązuje zagadkę. Dzieje się tak dlatego, że zwykłe metody zbrodni, opisywane przez Conan Doyle'a, Wallace'a lub Nata Pinkertona nie zadawalają już zblazowanej publiczności dzisiejszej, to też autorzy filmów kryminalnych muszą się silić na oryginalne scenariusze, na których z kolei wzorują się młodociani przestępcy. „Nie jestem doprawdy moralistą — pisze Silvan — lecz nie myślę, żeby dla młodzieży konieczne było oglądanie scen, wyobrażających przeróżne zbrodnie, zniewalanie kobiet, upajanie się opium, haszyszem, kokainą, zajścia w spelunkach chińskich, arabskich czy japońskich, oddawna przez władze zamkniętych, samobójstw popełnionych w obłędzie miłości lub pod wpływem narkotyków. **Kino jest doskonałą rozrywką i szkołą, lecz jednocześnie kino szerzy też**

raka niemoralności". Oto wniosek do jakiego doszedł badacz amerykański.

Nie trzeba bynajmniej być wrogiem filmu, aby się z tym wnioskiem zgodzić, jeśli się zważy, że **coraz więcej zbrodni dokonywa młodzież pod wpływem złych filmów,** do czego zresztą sama się przyznaje. **Niebezpieczeństwo filmów** o cowboy'ach i innych zatraceńcach wyświetlanych nietylko na peryferiach, lecz i w centrum miast wielkich, **jest znacznie większe, niż kryminalnej lektury, a to wskutek swej bezpośredniości i żywości, z jaką oddziaływują na młodocianego widza.** To też i cenzura powinna być dla tych filmów znacznie surowsza, niż dla książki. Dorosłych częstują kina kolorowymi filmami „o trzech świnkach", groteskami Fleischer'a itd., a dzieci różnymi wyczynami gangsterów i innych zatraceńców. Czyżby nie było żadnych przepisów regulujących tę palącą dla społeczeństwa sprawę? Czy nie rozumieją czynniki miarodajne, że **podobne widowiska powinny być kategorycznie wzbronione i to nie tylko dla młodzieży, gdyż są trucizną dla duszy dziecięcej, deprawują charaktery, a w tłumie budzą złe skłonności i instynkty. Już czas najwyższy, aby cenzura zajęła się energicznym filtrowaniem filmów w tym właśnie kierunku.**

Dr Paweł Klinger.

Profesor dr Odo Bujwid

W 80-lecie urodzin

W pełni sił fizycznych i umysłowych profesor dr Odo Bujwid obchodził niedawno 80. rocznicę urodzin, a w ubiegłym roku cały świat intelektualny w Polsce święcił **pięćdziesięciolecie Jego naukowej i społecznej działalności.** Niestrudzony pionier nauki, ofiarny działacz narodowy i społeczny, niezłomny szermierz myśli postępowej i prawdziwie **dobry** człowiek — profesor Bujwid otoczony jest powszechną czcią, a Towarzystwo Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów dumne jest, że widzi Go w rzędzie swoich przyjaciół i rzeczników dążności, w imię których walczy o zdrowie seksualne, i że może korzystać z Jego pomocy i światłej rady, jakiej Jubilat nie skąpi nikomu, kto się do Niego z zaufaniem zwraca.

Niech nam będzie wolno na tych kartach przypomnieć główne momenty owocnego, bujnego życia i zasługi znakomitego uczonego, który nie izolował się w laboratorium, lecz niósł bezpośrednio pomoc cierpiącej ludzkości, a poza swoją zawodową pracą, niezmiernie wiele dobrego uczynił na terenie społecznym, dał inicjatywę do niezmiernie ważnych poczynań i instytucji. Niestrudzoną pomocnicę i towarzyszkę, o szerokim horyzoncie umysłowym i śmiałej twórczej duszy znalazł w swej małżonce, którą śmierć niestety przedwcześnie oderwała od Jego boku, a której imię zrosło się z historią ruchu kobiecego w Polsce. Dom pp. Bujwidostwa promieniował przez długie lata śmiałą, pionierską myślą i kulturą.

Przed dwoma laty w interesującym wywiadzie, którego główne ustępy tu przytoczymy, dr Ludwik Gross ogłosił szereg szczegółów, tyczących się **zawodowej pracy profesora Bujwida.** Tym bardziej warto je przytoczyć, że są wielce charakterystyczne dla historii medycyny i stosunków, jakie panowały w nauce przed pięćdziesięciu laty:

„W roku 1884 bakteriologia znajdowała się jeszcze w powijakach Było to świeżo po odkryciu zarazka gruźlicy przez lekarza niemieckiego Roberta Kocha. Odkrycie to utorowało Kochowi drogę do kariery naukowej i właśnie urządzono mu odpowiednio urządzone laboratorium w Berlinie. W czasie tym napisał młody podówczas, bo dwudziestokilkuletni student medycyny w Warszawie, Odo Bujwid, krótką, pięknie ilustrowaną rozprawkę o mikroskopowym badaniu plwociny. Rycina, przedstawiająca znalezione w plwocinie chorych na gruźlicę charakterystyczne, jak pręciki wyglądające zarazki gruźlicy, była szczególnie ciekawa.

Bujwid wysłał jeden egzemplarz swojej książeczki Robertowi Kochowi do Berlina. Kochowi spodobała się ogromnie i sama treść rozprawy naukowej i szczególnie owa ilustracja przedstawiająca świeżo przez niego odkryte zarazki gruźlicy. Nawiązuje się korespondencja pomiędzy młodym medykiem polskim a sławnym już wówczas badaczem niemieckim. W rok

później, już z dyplomem lekarskim w ręku, wyjeżdża **Bujwid do Berlina,** aby przez cały miesiąc brać udział w specjalnych kursach, które w laboratorium swoim urządził Koch na temat tajemniczego świata mikrobów. Po czterotygodniowym pobycie wraca Bujwid do Warszawy i natychmiast w lipcu **1885 roku zakłada pierwsze laboratorium bakteriologiczne przy ulicy Wilczej.** W laboratorium tym zaczął urządzać dla lekarzy kursa bakteriologiczne. Lekarze garnęli się bardzo chętnie do Bujwida, ucząc się tajników nowej wiedzy.

Tymczasem dowiaduje się Bujwid o nowej, **dziwnej metodzie szczepienia przeciw wściekliźnie,** znalezionej w Paryżu przez Pasteura. Metoda ta polega na tym, że osoby pokąsane przez wściekłe psy szczepi się, wstrzykując im pod skórę suszony rdzeń kręgowy królików zakażonych wścieklizną. Pasteur przekonał się, że zwierzęciu zdrowemu wstrzyknąć można bezkarnie rdzeń chorego królika suszony przez dwanaście dni. Kolei można następnie wstrzyknąć temu zwierzęciu rdzeń suszony 11 dni, potem 10 dni, 9, 8, 7, 6 i wreszcie 5 dni. Z tą chwilą zwierzę staje się odporne na prawdziwą wściekliznę. W ciągu kilkunastu dni — do trzech tygodni — można zatem zwierzę uodpornić przeciw wściekliźnie. Ponieważ zaś zazwyczaj upływa znacznie dłuższy okres czasu od chwili ukąszenia przez wściekłego psa do momentu zachorowania (czasem do dwóch miesięcy), przeto szczepionką Pasteura można było szczepić ludzi już pokąsanych, chroniąc ich w ten sposób przed wybuchem strasznej choroby.

Wieści o tej nowej, dziwnej metodzie, dobiegły i do Warszawy. W długich dyskusjach omawiał tę sprawę Bujwid ze sławnym podówczas profesorem medycyny wewnętrznej Szkoły Głównej w Warszawie doktorem Chałubińskim, wielkim przyjacielem i protektorem Bujwida. Omawiali tę dziwną metodę leczniczą, uważając ją za niezrozumiałą i nielogiczną. Jakże to — zapytywali oni, podobnie zresztą, jak wszyscy inny lekarze na świecie — więc człowieka zakażonego już zarazkiem wścieklizny, bo ukąszonego przez chorego psa, mamy jeszcze dodatkowo zakażać, wstrzykując mu w dalszym ciągu rdzeń chorych królików? Więc to ma być metoda „lecznicza"? Wszak oczywisty efekt będzie taki, że osoby naprawdę zakażone zginą prędzej niż normalnie, a te, któreby uszły z życiem — bo nie wszyscy ludzie pokąsani przez wściekłe psy giną — te zostaną dodatkowo zakażone przez „szczepionkę" i zachorują. Tak rozumował Bujwid z Chałubińskim, tak samo rozumowali zresztą najpoważniejsi profesorowie w Wiedniu, Berlinie, Budapeszcie i innych miastach. Bujwid przestudiował jednak dokładnie prace Pasteura i doszedł do wniosku, że mimo pozornego braku logiki„ coś na tym jednak jest". Dzięki poparciu Chałubińskiego otrzymał Bujwid subsydium z Kasy Mianowskiego i w kwietniu 1886 roku wyjechał do Paryża, aby na miejscu nauczyć się u Pasteura sporządzania szczepionki.

Pasteur pracował podówczas w malutkim, skromnym laboratorium przy ulicy d'Ulm. Przyjął on Bujwida niezbyt przyjaźnie. Dowiedział się bowiem o tym, że Bujwid niedawno dopiero wrócił od Kocha z Berlina. Pasteur zaś i Koch nie lubili się wzajemnie. Pasteur miał świeżo dopiero w pamięci niedawny Kongres lekarski, na którym przedstawiał swoją pracę nad szczepionką przeciw wąglikowi, z której był tak dumny. Robert Koch wstał wówczas w czasie dyskusji i oświadczył spokojnie ale stanowczo, że szczepienie zwierząt przeciw wąglikowi, jak o tym donosi Pasteur, jest poprostu „niemożliwością" i że praca Pasteura jest niepoważna. W odpowiedzi na ten zarzut, pełen temperamentu Pasteur zwymyślał Kocha publicznie. Otóż Pasteur dowiedział się od kogoś, że Bujwid był niedawno na kursie u Kocha i przy najbliższej sposobności wyładował na Bogu ducha winnym młodym lekarzu całą swą złość, nagromadzoną jeszcze z czasów pamiętnego kongresu. Okazja zdarzyła się niedługo: w czasie pracy w laboratorium, Bujwid rozciął rdzeń zakażonego królika ostrym nożem, kawałek rdzenia położył na pożywkę, nóż zaś włożył do płomienia

: trzymał go tam tak długo, aż rozżarzył się do białości, celem zabicia zarazków. Pasteur, widząc to przypadkiem, aż poczerwieniał ze złości.

— Któż Pana tak nauczył niszczyć instrumenty?! To jest szkoła niemiecka! I takie smażenie noża w ogniu jest zupełnie niepotrzebne! Wystarczy najzupełnej wziąć nóż, ot tak — to mówiąc, przeciągnął go lekko ponad płomieniem — i zarazki zginą natychmiast, a nóż zostaje cały i niezniszczony. — A pocóż Pan kładzie rdzeń na pożywkę?

— Szczepię na pożywkę, może znajdę w ten sposób zarazek wścieklizny...

— Nonsens, głupstwo! Jeżeli Pan, jako Niemiec, przyjeżdża do nas poto, by...

— Przepraszam — wtrącił uprzejmie Bujwid — przede wszystkim muszę sprostować małe nieporozumienie. Nie jestem Niemcem. Jestem Polakiem. Polaków zaś nazywają „Francuzami Północy".

Pasteur rozchmurzył się. — Tak, to prawda. Ale Rojanie są też Francuzami Północy — dodał po chwili, ogromnie bowiem cenił kolegów z Rosji, z których wielu, z Miecznikowem na czele, pracowało u jego boku.

— W dowód — ciągnął dalej Bujwid — jak duże mam zaufanie do Pańskiej szczepionki, proszę zaszczepić mnie przeciw wściekliźnie.

— Ależ nonsens — krzyknął Pasteur — wszak nie został Pan wcale pokąsany!

— Niemniej jednak — upiera się Bujwid — chcę zostać zaszczepiony przeciw wściekliźnie.

W kilka dni później doktór Grancher zaszczepił Bujwida przeciw wściekliźnie i odtąd datują się bardzo przyjazne stosunki pomiędzy wielkim uczonym francuskim Pasteurem, a przedstawicielem... „Francuzów Północy", młodym doktorem Bujwidem z Warszawy.

Półtora miesiąca trwał pobyt Bujwida w Paryżu. W czerwcu 1886 wrócił do Warszawy i natychmiast otworzył pierwszy poza granicami Francji na świecie zakład dla szczepieni przeciw wściekliźnie. Pokąsani przez wściekłe psy poczęli się masowo zgłaszać do zakładu prof. Bujwida. Analogiczne zakłady zaczęły powstawać we wszystkich miastach uniwersyteckich. Wkrótce jednak rozpoczęła się **zaciekła walka przeciw Pasteurowi i jego szczepieniom.** Okazało się bowiem, że dotychczasową szczepionką nie można w 100% uratować pokąsanych przed straszną chorobą, że wśród zaszczepionych osób znajdą się jeszcze ze trzy lub cztery na sto, którym szczepionka nie pomoże.

Zaczęto teraz w sposób niesłychanie ostry i brutalny atakować Pasteura i jego uczniów. W wiedeńskiej „Neue Freie Presse" ukazał się artykuł, podpisany przez słynnego chirurga profesora Billrotha, w którym **metodę Pasteurowskich szczepień przeciw wściekliźnie nazwano „strasznym głupstwem".** Billroth domagał się natychmiastowego zamknięcia wszystkich zakładów dla szczepienia przeciw wściekliźnie. Efekt tego niebywałego ataku na biednego podówczas, bo sparaliżowanego już i schorowanego Pasteura nie dał na siebie długo czekać. **W Wiedniu zamknięto natychmiast Zakład szczepień przeciw wściekliźnie.** Wiele innych miast poszło za tym przykładem.

Dopiero po wielu latach przekonano się do „nielogicznej" metody walki z wścieklizną. Dziś już nikt nie powątpiewa w jej skuteczność. Zwłaszcza od czasu, gdy przekonano się, że przy niewielkiej modyfikacji dotychczasowego szczepienia osiągnąć można znacznie pewniejsze rezultaty. Bujwid przekonał się w Krakowie, że należy szczepić w ten sposób, by uodporniać stopniowo coraz mniej suszonym, a zatem coraz bardziej zjadliwym rdzeniem królików, dochodząc aż do rdzenia prawie niesuszonego, bo dwudniowego, podczas gdy Pasteur zatrzymywał się na rdzeniu suszonym pięć dni). W ten sposób uzyskał Bujwid wyniki doskonałe: z pośród czterystu pokąsanych przez wściekłe psy i wilki (!) osób i szczepionych tym ulepszonym sposobem udało się uratować 399 przed śmiercią...

W roku 1892 mianowany został Bujwid profesorem higieny i bakteriologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W rok później tworzy w Krakowie zakład dla szczepień przeciw wściekliźnie, a w następnym roku zaczyna — pierwszy w Polsce — produkować świeżo w Instytucie Pasteura w Paryżu odkrytą surowicę przeciw dyfterii. W ciągu pierwszego roku produkcji tej surowicy spadła — w samej Galicji — śmiertelność wśród dzieci z powodu dyfterii z **czternastu na trzy tysiące**... Można śmiało powiedzieć, że zakład Bujwida uratował w ciągu kilkunastu lat z piętnaście tysięcy osób przed męczarniami i śmiercią z wścieklizny, a najmniej pół miliona dzieci przed śmiercią z dyfterii..."

Równie świetną jest i na równie głęboki szacunek zasługuje wielostronna działalność prof. Bujwida, jako społecznika. Gdy w dniu 11 marca 1936 r. krakowski „Rotary Club", którego prof. Bujwid jest **prezesem**, zebrał się, celem uczczenia złotych Jego godów z pracą naukową i społeczną, prof. dr **Walery Goetel** w wymownych a zwięzłych słowach przypomniał zasługi Jeubilata. Przytoczymy ustęp przemówienia, tyczący się Jego pracy społecznej:

„Od najmłodszych gimnazjalnych czasów brał udział w **patriotycznych tajnych** związkach, a wprost wiekopomne zyskał zasługi jako **fundator-założyciel trzeciego koła TSL**, oraz jako **organizator i twórca uniwersytetu ludowego w Krakowie**, który powołał do życia w roku 1900. Na rzecz oświaty ludowej i na rzecz uświadomienia narodowego nie szczędził nie tylko funduszów, lecz przede wszystkim swego głębokiego wykształcenia i trudu, jeżdżąc po całym kraju jako prelegent z odczytami — budząc wszędzie ducha i organizując polskie życie.

Dziś niewielu ludzi już pamięta, że jedna z najważniejszych twierdz polskości na Śląsku — **Dom Polski w Morawskiej Ostrawie** powstał dzięki inicjatywie prof. Bujwida. Jest on również współzałożycielem polskiego gimnazjum w Cieszynie.

Kraków ma specjalne długi wdzięczności wobec czcigodnego Jubilata. Prof. Bujwid jest bowiem jednym z inicjatorów krakowskiego wodociągu miejskiego, twórcą pierwszego w naszym mieście zakładu higieny i badania środków żywności i on również był pierwszym, który rozpoczął bakteriologiczne badania wody w krakowskim wodociągu.

Od chwili powstania niepodległej Polski, prof. Bujwid oddaje wszystkie swe siły, wiedzę i wieloletnie doświadczenie na usługi ojczyzny. Organizuje pierwszy **szpital Legionów Polskich w Krakowie**, a następnie w Warszawie. W randze pułkownika wojsk polskich oddaje wiekopomne zasługi **w organizowaniu służby sanitarnej w wojsku polskim**. W roku 1921 przechodzi na emeryturę, lecz nie oznacza to bynajmniej, aby wycofał się z życia. Rozwija działalność jako honorowy prezes związku Legionistów, jako prezes krakowskiego BBWR — jako pełen inicjatywy i poczucia obowiązku radny m. Krakowa".

„Zdaję sobie sprawę — mówił dalej prof. Goetel — że w sprawozdaniu tym nadużywałem słowa „pierwszy". Tak się jednak złożyło, że prof. Bujwid **bardzo wiele rzeczy robił w Polsce jako pierwszy**. Półwiekową działalność Jubilata cechuje zdumiewająca wielostronność ideowa. Każda nowa idea szlachetna i wielka znajdowała w nim potężnego propagatora. Prof. Bujwid jest jednym z pierwszych polskich **esperantystów**, a imię Jego znane jest we wszystkich zakątkach ziemi, dzięki setkom artykułów drukowanych w prasie esperanckiej. Jego dorobek naukowy ilustruje cyfra ogłoszonych prac, których jest ponad trzysta. Prof. Odo Bujwid jest znakomitym uczonym, czynnym społecznie patriotą i jest także wielkim Europejczykiem!"

Jak ju wspomnieliśmy na wstępie, profesor Bujwid, ten przyrodnik, lekarz i myśliciel na wyżynie kultury — rozumie w pełni znaczenie idei **świadomego macierzyństwa** i popiera program **reformy seksualnej** jako wiceprezes Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów oraz naczelny redaktor „Życia Świadomego". Oby jeszcze przez długie lata dane nam było korzystać z rady i współpracy znakomitego uczonego i działacza!

Zarząd Towarzystwa Krzewienia
Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów.

JÓZEF LITAUER
adwokat

Tajemnica krwi

W r. 1933 w Wiedniu i w Lipsku ukazała się monografia historyczna dra Otto Forst de Battaglia pod znamiennym tytułem: „Tajemnica Krwi".

Autor monografii przestudiował drzewo genealogiczne bardzo wielu ludzi, przeważnie należących do t. zw. wyższych klas społecznych, niestety bowiem tylko wśród tych sfer jest to możliwe; albowiem szary człowiek posiada wiadomości najwyżej o kilku pokoleniach swych przodków. I z tych studiów uczony wyprowadza wprost sensacyjne wnioski. Tak na przykład, wśród wiadomych przodków arcyksięcia austriackiego Franciszka Ferdynanda, znajdujemy w 12 pokoleniu 2676 Niemców, 396 Francuzów, 249 Polaków, 248 Włochów, 205 Hiszpanow, 139 Duńczyków, 68 Portugalczyków, 44 Holendrów, 26 Anglików, 15 Litwinów, 6 Szwedów, 6 Czechów, 5 Rosjan, 5 Ukraińców, 4 Rumunów, 3 Węgrów i 1 Serba. Należy przy tym zaznaczyć, że każdy człowiek ma 2 rodziców, 4 dziadków, 8 pradziadków, 16, 32, 64, 128, 256, 512, 1024, 2084 i w 12 pokoleniu 4.096 pra-pradziadów.

Badając w ten sposób drzewo genealogiczne wszystkich panujących europejskich, autor dochodzi do wniosku, biorąc pod uwagę przodków tych panujących aż do czasów najdawniejszych, że w żyłach europejskich monarchów płynie nawet krew Mahometa i Dżingischana. W jedynastym wieku zawarty został bowiem związek małżeński między potomkiem Mahometa (Abü-l-Qasim Muhammad) a Qadi z Sewilli, z którego to rodu Ximeha Sewillska poślubiła Alfonsa VI Kastylijskiego. Przez tego ostatniego krew Mahometa wpłynęła do żył wszyst-

kich monarchów europejskich. Pra-prawnuczka (6 pokolenie) Dżingischana—Anna poślubiła Fiedora Rostislawicza (w. XIII), ich pra-prawnuczka (10. pokolenie i 15. pokolenie od Dżingischana) Ksenia Szastukowaja poślubiła Nikitę Romanowa — patriarchę Filaveta (wiek XVII), a następnie przez ich potomka Piotra Wielkiego i jego potomków krew Dżingischana wprowadzona zostaje do żył nawet cesarza Wilhelma II.

Szynkarz Krateros wydał swą córkę za cesarza Bizancii. Jest ona prababką Teofanii, żony Ottona II a następnie wszystkich europejskich dynastii, poczynając od XIII wieku.

Prawnuk cyrulika Babon jest przodkiem Gabrieli d'Estrées matki księcia Vendome, prababki wszystkich współczesnych katolickich dynastii europejskich.

Można by podać dziesiątki takich przykładów. Pod względem rasowym „czyste" są tylko niektóre terytoria w Skandynawii, a to z powodu jej położenia geograficznego. Im bardziej zbliżamy się do czasów nowożytnych tym bardziej musimy stwierdzić, że krew ludzi Zachodu zostaje zmieszana coraz więcej z krwią rosyjską, żydowską, murzyńską.

Niejaki chrzczony Żyd Szapiro pod nazwiskiem Szafirowa był wicekanclerzem Piotra Wielkiego. Wprowadził on w ciągu lat 150 krew żydowską do 20 domów książęcych, między innymi do rodziny księcia Holstein-Beck, rodziny Chigi, rodzin Lubomirskich, Potockich, Lanckorońskich.

We Francji Żydówka Fould wprowadziła krew żydowską do żył najwyższej arystokracji, nawet La Rochefoucauld'ów.

W Polsce nie ma, prawie żadnej rodziny magnackiej bez krwi Józefowiczów, potomków ministra skarbu końca XV i początku XVI stulecia — Żyda Ezofowicza.

Murzyn Hanibal — ulubieniec Piotra Wielkiego po przez poetę Puszkina wprowadził czarną krew do kilku tuzinów szlacheckich rodzin rosyjskich i między innymi do rodziny hr. Merenberg-Nassau. Aleksander Dumas miał czarnych przodków. Cesarzowa Józefine wedle tablic genealogicznych miała w swych żyłach krew murzyńską.

Aż do rewolucji francuskiej szlachta europejska posiadała prawie wyłącznie krew germańską, przymieszka krwi innej była wśród rodów szlacheckich względnie niewielka, aczkolwiek nie ominęła prawie żadnej z tych rodzin. Szlachta europejska miała przeszło 90% krwi nordyckiej, jeśli zważymy, że książe Ruryk był przecież nordykiem; wobec tego zaś, że w większości krajów europejskich lud był krwi zupełnie innej — między warstwą rządzącą a rządzoną istniał prawdziwy kontrast krwi. Wyjątki stanowią Niemcy i Kraje Skandynawskie. Od rewolucji francuskiej sytuacja się zmienia zupełnie i dziś już Otto Habsburski posiada przewagę krwi nie germańskiej i nie nordyckiej. Zresztą

autor dochodzi do wniosku, że obecnie nie ma już granic krwi między proletariuszem, mieszczaninem i szlachcicem, gdyż nie ma proletariusza, który nie miałby przodków królewskich i nie ma króla, który nie posiadałby wśród swych przodków proletariusza.

I w konkluzji uczony, nie negując tego faktu, że krew wywiera wpływ na osobowość ludzką, twierdzi jednak, że nie stajemy się jej niewolnikami. Np. Maksymilian I ze swoją 1/16 krwi germańskiej był typowym księciem niemieckim, Kazimierz Wielki z 1/3 krwi polskiej był wielkim królem polskim, a Stefan Batory nie miał ani jednej kropli polskiej krwi. Fryderyk Wielki miał więcej krwi francuskiej, niż niemieckiej. Żyd Beaconsfield ufundamentował imperium brytyjskie, którego panujący Edward VII, wróg Niemiec miał na 128 swych przodków 127 Niemców.

Charakter człowieka zależny jest od trzech czynników: krwi, środowiska, przeżyć.

Fakt, że część naszej osobowości odziedziczyliśmy od naszych przodków, nakazuje nam nie wyzbywać się zbyt łatwo tradycji, w których wyrośliśmy. Ale nie jesteśmy niewolnikami i **narzędziami fatalizmu** spadkowego. Jesteśmy ludźmi **wolnymi** i musimy **odpowiadać** za nasze czyny i zaniechania.

Józef Litauer.

KOLUMNA PLASTYKI

REDAGUJE JERZY FEDKOWICZ

W numerze obecnym zamieszczamy reprodukcję obrazu francuskiego malarza Gaugina (autoportret). Postać tego wielkiego artysty i inspiratora pewnego odłamu młodego pokolenia zaznacza się dobitnie na tle rozwoju francuskiego malarstwa z końca XIX wieku. W najbliższych numerach „Życia Świadomego", postaramy się powrócić do nieco obszerniejszej charakterystyki jego twórczości. Kierunek i walor jego sztuki zaciążyły i na polskim malarstwie, wywierając duży wpływ na rozwój Śliwińskiego, Makowskiego i wielu innych.

Dwie następne reprodukcje są to obrazy przedwcześnie zmarłego polskiego malarza Zygmunta Waliszewskiego. Wielki talent o niezwykłej inwencji artystycznej, pełen energii i życia odszedł w chwili największego nasilenia rozwoju swego talentu.



Paul Gauguin **Autoportret**

Czy wpłaciłeś już prenumeratę na rok 1937/8 (nr 5, 6, 7, 8)



Zygmunt Waliszewski **Akt w kapeluszu**



Zygmunt Waliszewski **Don Kichot**

ECHA

PRZEMYSŁ SEKSUALNY W JAPONII

„Wiadomości Literackie“ wydały numer japoński, w którym znajdujemy artykuł p. Sugita Naoki o przemyśle seksualnym w Japonii. Artykuł ten wprowadza nas w zupełnie inny świat moralny, aniżeli ten, w którym żyjemy. Warto zapoznać się przynajmniej z jego częścią:

„Z nadejściem okresu Siowa nastąpiła era wolności płciowej.

Pierwszym nasuwającym się tu tematem jest położenie obecne kobiet, oddających się „zawodom erotycznym“ — a więc gejsz, kelnerek, prostytutek publicznych i prywatnych, które są w każdej chwili dostępne dla mężczyzn poszukujących przyjemności erotycznych i mających odpowiednie środki.

Ilość urzędowo zarejestrowanych właścicieli i właścicielek domów publicznych wynosi okrągłe 10.000, podczas gdy pensjonariuszek jest 50.000, a mężczyzn i kobiet zatrudnionych pracą pomocniczą w domach „przemysłu płciowego“ jest 27.000. W 63.000 restauracyj można zażądać gejsz, prócz tego istnieje 4.000 maciai, czyli domów schadzek, 38.000 kawiarni i barów, 21.000 domów gejsz, 16.000 jadłodajni, w nich wszystkich zaś pracuje 110.000 kelnerek, 74.000 gejsz i 86.000 „panienek barowych“. Gdy się te liczby zestawi z ludnością samej Japonii, wynoszącą 70,000.000, wówczas unaocznia się ogromna stosunkowo ilość ludzi zatrudnionych w mniej lub więcej „seksualnych“ zawodach.

Można sobie bez trudu wyobrazić, że zakłady te wywierają pożałowania godny wpływ na moralność młodych mężczyzn i kobiet i na ich życie płciowe.

Jeśli się spojrzy **jedynie na** zdrowotną stronę zagadnienia, okaże się, że odsetek chorych wenerycznie wśród młodych mężczyzn w wieku poborowym wynosi 1.01%, wśród chorych zaś na weneryczne choroby, zgłaszających się do szpitali rządowych lub prywatnych, 12—13 osób na każde 100 wykazuje zarażenie syfilisem przy badaniu krwi.

Podczas gdy dotychczas tylko gejsze i zawodowe prostytutki zaspokajały potrzeby erotyczne mężczyzn, dzisiaj stoją przed nimi otworem kawiarnie, bary i dancingi, rodzaj zakładów zapożyczonych z zagranicy, który znacznie wzbogacił możliwości życia nocnego. Wraz ze zwiększeniem się w miastach ilości tych zakładów rozrywkowych, zarówno kelnerki i fordanserki jak kobiety uprawiające życie płciowe zawodowo, zaczęły silnie dezorganizować obyczajowość mężczyzn i kobiet.

Młodzi Japończycy odrzucili szybko doktrynę okresu Taisio: „miłość ponad wszystko“ i zaczęli wyznawać nową doktrynę: „przede wszystkim rozkosz zmysłowa“, przekładając przelotne i gotówkowo traktowane życie erotyczne; w związku z tym w dużych miastach jak Tokio lub Osaka powstaje coraz więcej zakładów dostarczających takich przyjemności.

Władze starają się jak mogą ograniczyć zjawiska działające szkodliwie na ogólną moralność; nie łatwo jednak powściągnąć potrzeby zmysłowe człowieka współczesnego, podniecane kinem i rewią.

Z nadejściem okresu Siowa wielu młodych mężczyzn i kobiet odrzuciło ideały i z zupełną swobodą oddało się używaniu przyjemności płciowych, traktowanych po handlowemu. Z czasem zaczęto ich uważać za typowych przedstawicieli nowego pokolenia, nazywanych moga (nowoczesna dziewczyna, od „modern girl“) i mobo (nowoczesny chłopak, od „modern boy“).

Stwierdzono, że wśród 15.000 kelnerek kawiarnianych w Tokio tylko 180 nie miało wykształcenia, podczas gdy 400 ukończyło wyższe szkoły

dla dziewcząt, 30 miało ukończone studia uniwersyteckie, lub było niegdyś studentkami, 200 było w przeszłości dziennikarkami, nauczycielkami, pannami sklepowymi itd. Liczby te wykazują, że wielką rolę społeczną odgrywa dziś „zawód" kelnerki kawiarnianej w stosunku do wszystkich stykających się z nią mężczyzn.

Wśród lepszych kelnerek można spotkać zarabiające kilkaset jenów miesięcznie, a niektóre z nich mają zarobki stawiające je pod tym względem na czele kobiet pracujących.

Przy dzikich dźwiękach jazzu współcześni młodzi mężczyźni i kobiety tracą w pogoni za płatną rozkoszą płciową dawne poczucie skromności, a tradycyjne maksymy życia erotycznego, takie jak „począwszy od siódmego roku życia mężczyzna i kobieta nie powinni razem zasiadać" „wierna żona nigdy nie patrzy na cudzego męża", „bądź wierna rodzicom jako dziecko, wierna mężowi jako żona i wierna dzieciom w starości" — idą powoli w zapomnienie.

Konieczność wprowadzenia „wychowania płciowego" do programu szkolnego jest dziś rozważana przez pedagogów, lecz sprawy objęte tym wychowaniem ograniczają się do środków zabezpieczających od chorób wenerycznych i ciąży, do ogólnej higieny płciowej itd. natomiast z żalem muszę stwierdzić, że zupełnie pomijają rzeczy pod pewnymi względami nierównie ważniejsze, mianowicie moralność seksualną, wzniosłe pojęcie o społecznej roli płci i inne moralne strony zagadnienia.

Pominąwszy formalne wychowanie w domu i w szkole, młodzi ludzie zaznajamiają się swobodnie ze sprawami płci przez dzienniki, czasopisma, kinoteatr itp. Ponieważ we wszystkich tych dziedzinach propagandy płciowej materiał pochodzi przeważnie z Europy i Ameryki, życie erotyczne Japończyków zatraciło prawie zupełnie swoiste tradycje i upodabnia się do Zachodu.

Przed 30 laty nawet małżeństwo nigdy nie chodziło ulicą trzymając się za ręce, a gdy dla jakichś powodów musiało się dokądś razem udać, żona zawsze szła kilka kroków za mężem. Jeszcze mniej więcej 10 lat temu, bardzo rzadko widziało się kobietę w zachodnich strojach, chyba wyjątkowo wśród intelektualistek. Dzisiaj z wyjątkiem kobiet specjalnych „zawodów" prawie nie spotyka się kobiety ubranej ściśle po japońsku z nieodzownym uczesaniem i innymi tradycyjnymi szczegółami. Na każdym kroku widzi się młodych mężczyzn i kobiety w najnowszych londyńskich i paryskich fasonach, idących pod rękę foxtrotowym krokiem nowojorczyków, a nik nie zwraca na nich szczególnej uwagi".

MILIARD, KTÓREGO NIE WYDAMY

„Miliard złotych — to nie bagatela. Ale miliard złotych rocznie — to ogromnie dużo. Tyle właśnie potrzeba, jak stwierdził wiceminister Rose, dla zatrudnienia w przemyśle połowy corocznego przyrostu naturalnego".

Tak pisał „Dziennik Poranny" nr. 225 w artykule p. t. „1,000.000.000 złotych".

Wiadomo i pisaliśmy już nieraz o tym, że przybywa nam co roku przeszło 400.000 osób. Jeżelibyśmy chcieli zatrudnić w przemyśle tylko 200.000 nowych robotników rocznie — to oczywiście musimy rozbudować odpowiednio przemysł, co pociąga za sobą jednomiliardową inwestycję.

To by było racjonalne wyzyskanie naszego przyrostu naturalnego. W rzeczywistości jest inaczej, mianowicie tak, że w r. 1928 nasz przemysł zatrudniał 840.000 robotników, a w r. 1936 — 640.000, czyli o 200.000 mniej. Nie ma więc możliwości, żebyśmy wydali ten dodatkowy miliard. Zresztą skąd go wziąć. Obecnie ma się sytuacja gospodarcza poprawić, „ale ów miliard wciąż pozostanie pozycją teoretyczną" — konkluduje wspomniane pismo.

GDY ANGLIK CHCE SIĘ ROZWIEŚĆ

Anglicy dumni są ze swego prawodawstwa, i mają pod niejednym względem rację. Ale w tym kraju, w którym nie ścina się starych drzew nawet gdy już zgniły, znajdują się też takie spróchniałe drzewa prawne, które w całej pełni zasługują na ścięcie. Odnosi się to szczególnie do prawa rozwodowego.

Anglik może być nieszczęśliwy w małżeństwie, ale jeszcze większe przykrości czekają go, gdy spróbuje się rozwieść. Opowiemy je pokrótce. Jeszcze do niedawna, mianowicie do r. 1932 Anglik i Angielka nie byli pod tym względem równouprawnieni, a więc Anglik mógł domagać się rozwodu, jeżeli żona popełniła wiarołomstwo. Ale nie wystarczyło bynajmniej wiarołomstwo męża, ażeby Angielka mogła dostać rozwód. Taki dżentelmen musiał nie tylko zdradzać żonę, ale jeszcze do tego ją bić, uciec od niej albo popełnić dwużeństwo. Dopiero w takiej kombinacji: zdrada, plus jeszcze jeden czynnik, mogła małżonka liczyć na uzyskanie rozwodu. W r. 1923 obie płcie zostały pod tym względem zrównane. Jeszcze jeden ciekawy zabytek już dzisiaj nieistniejący, mianowicie aż do r. 1857 można było uzyskać rozwód jedynie na podstawie aktu parlamentarnego! Naturalnie, że tylko bardzo bogaci i wpływowi ludzie mogli sobie na to pozwolić, ażeby angażować ciało ustawodawcze do tej tak prywatnej sprawy.

Jak wygląda proces rozwodowy w Anglii. Jest to sprawa niezmiernie skomplikowana. Zaczyna się wniesieniem „petycji" do sądu, naturalnie za pośrednictwem adwokata, bo gdzieżby laik znał się na tych potrzebnych formalnościach. W jakiś czas po wniesieniu podania przychodzi do sprawy rozwodowej. Na tę rozprawę musi strona skarżąca sprowadzić świadków, którzy mogą potwierdzić, że partner dopuścił się zdrady. Nic to, że oskarżony mąż lub żona przyznają się wobec sądu do popełnienia zdrady małżeńskiej. Tego rodzaju przyznanie się nie przedstawia żadnej wartości dla sędziego, co więcej jest bardzo niebzpieczne dla obu małżonków, gdyż na tej podstawie można ich posądzić o zmowę „collusion" i wytoczyć im proces karny. Sąd bowiem przypuszcza, iż nieraz jakaś para chce się rozwieść z innych powodów, aniżeli zdrada małżeńska i umawiają się, że wobec sądu jedna ze stron przyzna się do wiarołomstwa ażeby rozwód uzyskać. Tego rodzaju postępowanie jest surowo karane.

Tak więc mr. Smith, która skarży o rozwód musi dostarczyć świadków, którzy udowodnią bezwzględnie winę mister Smitha, jej małżonka. Skąd tu jednak wziąć takich świadków? Zwykle tego rodzaju intymne sprawy odbywają się bez świadków. Tutaj może jednakowoż pomóc bardzo wiele to właśnie, tak przez sąd angielski surowo karane porozumienie „collusion." Ta strona, która mniej lęka się obmowy poświęca się na rzecz wspólnego szczęścia rozwodowego i wspólnie z partnerem czy partnerką dostarczają sądowi dowodów. A więc p. Smith udaje się do hotelu ze swoją przyjaciółką albo wynajętą w tym celu damą i tam muszą przepędzić conajmniej dwie noce. Jedna noc nie wystarcza. Również nie wystarcza bynajmniej, że byli zapisani do księgi hotelowej. Muszą się znaleźć świadkowie, którzy widzieli ich razem w pokoju hotelowym!

Jeżeli się uda dowieść sądowi takimi wiarygodnymi świadkami winy przeciwnika, wówczas sąd wydaje wyrok—na pół roku. Małżeńswo się rozwiązuje, ale tylko jako t. zw. „nisi". Mianowicie, jeżeli w ciągu pół roku znajdą się jakiekolwiek dowody, obalające wyrok, (np. swierdzające, że była umowa między małżonkami), wówczas wyrok jest nieważny.

Ten półroczny okres próbny to ciężki kawałek życia. Przez ten okres czuwa nad parą małżeńską specjalny urzędnik, noszący nazwę prokuratora królewskiego (Kings Proctor). Urzędnik ten ma prawo angażować prywatnych detektypów, ażeby ci śledzili życie osób przez niego podejrza-

nych. Ci detektywi wypytują służbę i wszystkie osoby, utrzymujące stosunki ze stronami procesującymi się i mają na celu stwierdzić, czy skarżący w ciągu tego okresu nie dopuszcza się sam np. wiarołomstwa, a zwłaszcza jak już powiedzieliśmy, czy w jakiś sposób nie wyjdzie fakt zmowy.

Niezawsze taki prokurator rozporządza funduszami, ażeby śledzić wszystkie pary małżeńskie, pragnące rozwodu. Nie żałuje jednak pieniędzy na Sherloków Holmesów, tam gdzie chodzi o rozwodzących się bogaczów, gdyż w następstwie rozwodu przegrywający płaci zawsze wysokie odszkodowanie, a z tego odszkodowania prokurator królewski już swoje koszty ściągnie.

Ale oprócz prokuratora królewskiego wszystkie inne osoby mają prawo i obowiązek śledzić życie prywatne obu stron, a w pierwszym rzędzie robi z tego prawa wydatny użytek oskarżony. Przecież w jego interesie jest, ażeby znaleść w ciągu tego pół roku dowody anulujące wyrok.

Ale minęło pół roku, dowodów nie znaleziono. Wówczas skarżący musi wnieść nowe podanie, domagające się ostatecznego uprawomocnienia wyroku. Jeżeli zaniedba tej formalności — wszystkie trudy na nic, musi zaczynać na nowo.

Ale nie są to jedyne przykrości tego procesu. Wbrew obowiązującej w Anglii dżentelmenerii nie stosuje się tych przepisów wobec małżonków, pragnących rozwodu. Są oni wydani bezlitośnie na łup prasy, a pisma kiedy indziej tak dyskretne zupełnie bezlitośnie eksploatują wszystkie szczegóły procesu i podają je do publicznej wiadomości. Można sobie wyobrazić jakie to są nieprzyjemne rzeczy. Im procesujący się należą do wyższej klasy ludności, tym większy rozgłos i większe babranie się w skandalu.

Jeszcze jedna przykrość oraz trudność: koszty. Trudno uzyskać rozwód bez adwokata. Zwykle angażuje się do tego celu adwokata mającego renomę, a więc liczącego też sobie słone honoraria. W zasadzie koszty spadają na mężczyznę, chyba, że żona posiada majątek, co nie zawsze się zdarza. Przeciętne koszty procesu rozwodowego, nie licząc adwokata, wynoszą 60—70 funtów.

Wiarołomca może domagać się też i odszkodowania za ból moralny, za przykrość. Odszkodowanie takie nieraz, gdy chodzi o bogatych ludzi, osiąga ogromne sumy. Prawo angielskie przewiduje nawet, że żona może skarżyć męża o odszkodowanie w razie zdrady małżeńskiej — nie domagając się nawet rozwodu.

Te trudności w uzyskaniu rozwodu są powodem, że właściwie niewielka ilość małżeństw udaje się na drogę sądową, ażeby uzyskać wolność. Obliczono, że w Anglii milion małżeństw rozwiodło się na własną rękę bez jakiegokolwiek sądu lub kościoła i żyje w „dzikich" małżeństwach. Podnoszono niejednokrotnie już konieczność reformy ustawodawstwa rozwodowego. Przeciwstawia się temu jednakowoż Kościół anglikański, stojący — jak wszędzie indziej — na straży cnoty i nierozerwalności małżeństwa. Kościół anglikański nie uznaje bowiem rozwodów państwowych i „rozwodników" uważa się w niektórych parafiach za wyklętych i nie dopuszcza nawet do Sakramentów. (Podług „Frankfurter Zeitung").

NAJMORALNIEJSZE MIASTO NA ŚWIECIE

Tym miastem chce być — **Buenos Aires**, to eldorado handlu żywym towarem! I istotnie dba ono bardzo o „moralność"; kobiety przyzwoitej nie ujrzy się w żadnej kawiarni czy restauracji, a na ulicy biada, gdyby mężczyzna ukazał się bez marynarki...... Ale co się kryje za piękną **fasadą?** Jak wyglądają stosunki w **oficynach?** Przed wojną głośny reporter francuski Albert **Loudres**, kótry zginął przed kilku laty w katastrofie okrętowej, opisał w książce **„La chemin de Buenos Aires"** sposoby importu ko-

biet z Europy (przede wszystkim z Francji i Polski) na użytek moralnego miasta, a książka nie przeszła bez wrażenia. Pod naciskiem konsulatów europejskich niejedno się od tego czasu w Buenos Aires zmieniło.

Jak wygląda dziś „moralność" w tym mieście?

Odpowiada na to pytanie dr Antoni Marynowski w fejletonie w „Kurierze Porannym" z 12 list. br., który to fejleton pozwolimy sobie przytoczyć jako wcale charakterystyczny przyczynek do dyskusji w sprawie rozdźwięku między **purytańską pseudomoralnością a praktyką życiową**, rozdźwięku między **oficjalnym zakłamaniem a prawdą realną**. Ten rozdźwięk nie istnieje tylko w Buenos Aires...

„Słusznie gniewamy się na tych zagranicznych ignorantów, którzy przypuszczają, że nocami na ulicach Warszawy grasują wilki, lub nawet polarne niedźwiedzie, lecz sami popełniamy dość podobne omyłki. Tak na przykład u nas sporo ludzi uśmiecha się dwuznacznie na wieść, iż ktoś znajomy wyjeżdża do Argentyny i wyobraża sobie Buenos Aires jako miasto rozpusty, zamieszkałe głównie przez starych lubieżników, młodych sutenerów i przez nieszczęsne ofiary handlarzy żywym towarem.

We mnie najwidoczniej także zakorzeniło się trochę tych fałszywych pojęć, skoro zaraz w dniu swego przybycia do Buenos Aires postanowiłem przeprowadzić „studnia nad nocnym życiem tubylców". Rozpocząłem te „studia" na ulicach, na których mimo usilnych poszukiwań i pomimo wieczornej pory nie zauważyłem ani jednej damy lekkiego autoramentu. Zapytałem więc mego doświadczonego towarzysza o domy publiczne i dowiedziałem się, że „takowych" nie ma w Buenos Aires już od wielu lat.

— Ale są dalej za miastem — upierałem się — w San Fernando.

— Były, lecz zamknięto je wszystkie przed rokiem z nakazu władz.

Stwierdziliśmy niezbicie, iż towarzysz nie blaguje, pozwoliłem sobie wyrazić powątpiewanie, czy władze argentyńskie zdołały tak za jednym zamachem zlikwidować w kraju to odwieczne malum necessarium, jakim jest prostytucja.

— Oczywiście, że nie! — brzmiała odpowiedź. — Byłoby to zresztą nie możliwe w tym klimacie i przy tutejszych temperamentach.

— Więc są tajne domy rozpusty, o których policja niby nie wie?

— Nie, to by za drogo kosztowało właścicieli tych przybytków.

— Hm, jako doktór praw rozumiem, iż prawie każdą ustawę można obejść, ale jak urządzają się tutaj?

— Sam to zobaczysz za chwilę — odparł mój towarzysz, skręcając z Calle Corrientes w Calle Maipu.

Za dnia ta wąska ulica jest cicha, w przeciwieństwie do swej sąsiadki. Calle Florida, przy której mieszczą się najelegantsze sklepy i przez którą po południu przewalają się takie tłumy, że ruch kołowy na niej jest w tych godzinach wstrzymany. Maipu ożywia się dopiero o godz. 23, gdy rozpoczynają swą „działalność" jej liczne dancingi.

Na chybił-trafił wybieramy spośród nich „Casanovę", oddajemy w szatni kapelusze i wkraczamy na salę. Sala duża, stoliki małe, w głębi wysoko balkon, na którym dwie orkiestry grają naprzemian. Mężczyzn obecnych na razie dziewięciu, „fordanserek" chyba dziewięć razy więcej. Zaledwie usiedliśmy, zaczęły tańczyć ze sobą parami, „podjeżdżając" aż pod nasz stolik, wdzięcząc się i zagadując w różnych językach. Odpowiadałem im stale po polsku sądząc, iż w ten sposób „odkryję" jakąś rodaczkę. Nie odkryłem żadnej, za to we mnie odkrył rodaka kierownik tego dancingu, niejaki p. Lewinger...

— A pana szanownego twarz — zwrócił się już wyłącznie do mnie— to ja sobie doskonale przypominam albo z krakowskiej „Esplanady", albo z warszawskiej „Adrii" albo...

— Albo z obydwóch tych lokali razem — wtrąciłem, zapraszając p. Lewingera ruchem dłoni, by usiadł przy nas. — Jak się panu tu powodzi?

— Finansowo nieźle — przyznał — miesięcznie zarabiam tysiąc pesów.

— Czyli przeszło półtora tysiąca złotych, a życie tu jest tańsze niż u nas, jeżeli ktoś umie się urządzić, słyszałem.

— To prawda, lecz brak mi tej naszej atmosfery, tych polskich witzów, szmoncesów, dowcipasów, tego zalewania się w pestkę w dobrej kompanii, pan rozumi? Bo oni, niby Argentyńczycy są właściwie smutni, a pić w tym klimacie niebezpiecznie. Żeby pan wiedział, co ja miałem za kram z moją wątrobą, zanim ją zaaklimatyzowałem! O tym można by napisać grubą książkę!

Podziękowawszy p. Lewingerowi za tak wdzięczny temat do powieści zacząłem go wypytywać, o to, co mnie tam daleko więcej interesowało, o te dziewczyny.

— Mamy ich tutaj 80 sztuk, ale prócz „Casanovy" moi chlebodawcy posiadają jeszcze trzy inne dancingi, „Tabaris", „Novelty" i „Ambassadeur", oraz wspaniały kabaret „Casino". W sumie zatrudniamy dziewcząt blisko pięćset.

— Ile im płacicie? — indagowałem go dalej.

— Różnie, lecz wyzysku u nas nie ma. Najniższy zarobek dzienny takiej panny wynosi sześć pesów.

— Plus jedzenie, czy też plus suknie?

— Plus nic. Panie szanowny, my nie jesteśmy instytucją dobroczynności. Płacimy sześć pesów za dzień i pół pesa za każdy kieliszek, do którego panna namówi klienta. Poza tym pozwalamy jej dorabiać sobie bokiem, ile chce.

— Właśnie o tych jej ubocznych dochodach chciałbym coś usłyszeć.

— Ja o nich oficjalnie nic nie wiem, — zastrzegł się p. Lewinger, — ale to dzieje się tak: jeżeli gość chce z którąś coś więcej, niż zatańczyć, to w tańcu, lub przy stoliku umawia się z nią o cenę. Nasze biorą podobno od pięciu pesów do dziesięciu. Gdy się już wytargowali, wychodzą do szatni, a portier dla nich przywołuje taksówkę, bo pieszo tym paniom chodzić nie wolno pod karą więzienia. Taksówka wiezie ich do najbliższego hoteliku, skąd najpóźniej za godzinę panna musi tu wrócić również taksówką.

— O ile podrażają koszt tej imprezy taksówki i hotel?

— Zaledwie o trzy do czterech pesów. Za to od wprowadzenia tego taksówkowo-hotelowego przymusu, my możemy mówić z czystym sumieniem, że u nas nie dzieje się nic niemoralnego. Dancingi tylko pośredniczą w tym interesie, ułatwiając klientowi wybór odpowiedniej jego gustowi towarzyszki i pozwalając mu rozpłomienić się w tańcu.

— A ile Polek „rozpłomienia" klientów w tych pięciu waszych lokalach?

— Tylko jedna, bardzo miła Żydóweczka z Nalewek.

Jeszcze dwie inne polskie Żydówki tej profesji znalazłem w Buenos Aires, zwiedziwszy tu dwa tuziny dancingów, od najdroższych na C. Corrientes, gdzie Francuzki biorą po 40 pesów, do najgorszych, portowych na Boca i przy ul. Leandro N. Alem, gdzie płaci się za „miłość" zaledwie jednego pesa. Tylko 3 polskie obywatelki, na około 2.000 fordanserek-prostytutek, które przedefilowały przed mymi oczami. Minęły więc na szczęście te czasy, kiedy w Argentynie mówiących po polsku damulek z półświatka było tak wiele, że słowo „polacca" (tj. Polka) było obelżywym określeniem prostytutki.

Co noc sprzed każdego dancingu odjeżdżają setki taksówek, uwożących parki do hoteli, lecz na ulicach panuje surowa moralność. Za całusa płaci się 10 pesów kary i tyleż za zgaszenie świateł w stojącym samochodzie, w którym znajdowało się dwoje osobników różnej płci, choćby narzeczonych. Kiedy raz po teatrze, czekając na autobus, usiedliśmy z żoną

na ławce, natychmiast jakby spod ziemi wyrosła policyjna karetka i od niemiłej przejażdżki nią na komisariat wykręciliśmy się z trudem. Bo, mimo wszystko, Buenos Aires chce być także najmoralniejszym miastem na świecie".

PRZESTĘPSTWA W ZWIĄZKU Z ZASPAKAJANIEM POPĘDU PŁCIOWEGO

W „Przeglądzie policyjnym„ nr. 1. r. 1937 p. St. Szwedowski streszcza i omawia obszerną rozprawę profesora Uniwersytetu warsz. dra Grzywo-Dąbrowskiego pod pow. tytułem, ogłoszoną w „Ruchu Prawn. Ekon. i Socjal." kw. 2. 1936 r. w Poznaniu:

„W pracy powyższej autor omawia przestępstwa porównawczo w świetle kodeksów karnych: polskiego z r. 1932, Rosyjskiej Socjal. Sow. Rep. z r. 1933, włoskiego z 1930/31 i łotewskiego z 1933. Przytoczywszy uprzednio tekst ustaw odnośnie wspomnianych przestępstw, których w naszym kod. karnym dotyczą art. 203—207; przepisy w art. 208—214, jako mało związane z dziedziną sądowo-lekarską, pominięto.

Art. 203 polskiego kod. kar. przewiduje sankcję 10 lat więzienia za czyn nierządny względem osoby poniżej lat 15, kodeks sowiecki, włoski i łotewski znają to samo pojęcie czynu nierządnego, jednak kodeks sowiecki nie podaje granicy wieku (jak to czynią pozostałe kodeksy, wstawiając podwójne granice lat 14 i 16), ale mówi ogólnie o osobie „niedojrzałej płciowo", co w praktyce nastręczać będzie wiele trudności, ponieważ cechy fizyczne dojrzałości nie zwasze idą w parze z uświadomieniem pod względem płciowym.

Art. 204 polskiego kod. kar. dotyczy zgwałcenia, i to przy pomocy siły fizycznej lub bardzo szeroko potraktowanego przymusu moralnego (art. 91 pkt. 4 k. k.). Podkreślić należy, że autor, powołując się na doświadczenie, oparte na ustalonych około 500 przypadkach odbytego stosunku płciowego, przyjmuje, że zgwałcenie kobiet, które nawet rzeczywiście stawią opór, „są możliwe nawet w stosunku do kobiet, które już zaznały życia płciowego, a wcale nie należą do rzadkości, gdy poszkodowana nie obcowała jeszcze płciowo". Stanowisko to jest zgodne ze stanowiskiem dra Wachholza z Krakowa, a tym bardziej znamienne, że prof. Grzywo-Dąbrowski w „Zarysie medycyny sądowej" (wyd. z r. 1924) na str. 134 sprawę potraktował całkiem odmiennie, a mianowicie na pytanie „czy kobieta, która rzeczywiście nie chce oddać się mężczyźnie, może się obronić, innymi słowy, czy mężczyzna o średniej sile będzie mógł zgwałcić kobietę, o ile ona chce się obronić" — odpowiada: „wydaje nam się mało prawdopodobna możność takiego zgwałcenia, o ile dotyczy to osoby, która już poprzednio miewała stosunki płciowe". Podkreślić należy, że wówczas autor dopuszczał w niektórych przypadkach możliwość zgwałcenia, głosząc: „jeśli istnieje znaczna przewaga sił mężczyzny, również wtedy będziemy mogli przyjąć fakt zgwałcenia za prawdopodobny. Jeśli kobieta się broni, lecz warunki są sprzyjające dla mężczyzny, ma on przed sobą dużo czasu, znajduje się przez czas dłuższy sam na sam z kobietą, może się zdarzyć, że siły fizyczne kobiety wyczerpią się i gwałt zostanie dokonany". — Ros. kod. karny przewiduje zwiększony wymiar kary, gdy następstwem gwałtu będzie samobójstwo lub gdy gwałcicieli było kilku. Modyfikacja kary jest również wielokrotna w łotewskim kod. karnym.

Kazirodztwo, jako stosunek płciowy między wstępnymi i zstępnymi albo między rodzeństwem, jest ścigane przez polski kod. karny (art. 206) i łotewski k. k., natomiast sowiecki kod. karny nie wspomina o odpowiedzialności za stosunek płciowy kazirodczy, tak jak kod. włoski nie wspomina o stosunkach płciowych między dorosłym rodzeństwem, lub między ojcem a dorosłą córką, przewidując jedynie karę za stosunek płciowy z osobą do lat 16, gdy winny czynu był jej krewnym wstępnym.

Czyny nierządne przeciw naturze, jak pederastia, miłość lesbijska (u kobiet), stosunki ze zwierzętami, w najnowszych kodeksach nie są uważane za przestępstwa, ale są zaliczane do dziedziny schorzeń psychicznych za które trudno karać, ale które raczej leczyć wypada. Nasz kodeks karny, jak również kodeks karny sowiecki i włoski, nie przewidują kar za te czyny, natomiast łotewski kodeks karny przewiduje karę więzienia za pederastię. Wytłumaczyć się to da tym, że jest on wzorowany przede wszystkim na rosyjskim kod. karnym z r. 1903, który karę za pederastię przewidywał (i obowiązywał w Polsce w b. dzielnicy porosyjskiej do 31. 8. 1932 r.). Obecny kod. karny przewiduje tylko karę do trzech lat więzienia dla osoby, która w chęci zysku ofiaruje się osobie tej samej płci do czynu nierządnego, a więc karze się nie tylko biernych pederastów, ale i takież lesbijki, jeśli działają dla zysku.

Prof. Grzywo-Dąbrowski atakuje postanowienia artykułu 151 kod. karnego sowieckiego, który przewiduje wyższy wymiar kary, gdy w przypadku stosunku płciowego z osobą niedojrzałą nastąpiła defloracja, gdyż jak twierdzi, w praktyce wielokrotnie nastręczają się znaczne trudności przy ustaleniu, czy błonę dziewiczą wogóle rozdarto; przeto skala kar oraz indywidualne okoliczności czynu winny decydować o wysokości kary; okoliczność niedokonanej lub nieudowodnionej defloracji nie powinna wyłącznie decydować o wysokości wymierzonej kary, jak to słusznie przyjął nasz kod. karny.

Włoski kodeks karny zna specyficzne przestępstwo, obce pozostałym omawianym kodeksom, a mianowicie przewiduje karę od 1 do 5 lat więzienia nawet za obopólnie dobrowolny stosunek płciowy, odbyty przez funkcjonariusza publicznego z osobą zaaresztowaną lub w jakikolwiek inny sposób powierzoną mu na skutek jego stanowiska. Ciekawy i oryginalny jest w prawie włoskim art. 522 k .k., który zawiera pojęcie staropolskiego „raptus puellae", a który brzmi: „kto porywa lub zatrzymuje za pomocą gwałtu, groźby, lub podstępku kobietę niezamężną celem zawarcia małżeństwa, podlega karze więzienia od 1—3 lat. Jeśli powyższy czyn jest połączony ze szkodą dla porwanej osoby stanu wolnego, bez różnicy płci, w wieku od 14—18 lat, kara będzie zwiększona od 2—5 lat".

Całość pracy prof. Grzywo-Dąbrowskiego, opierając się na wysoce fachowych wiadomościach lekarskich autora, daje zwięzły obraz stosunków współczesnych prawodawstw karnych do omawianych przestępstw, przy tym z rozważań wynika, że polski kod. karny, zajął stanowisko w niczym nie zostające w sprzeczności z postulatami nauki lekarskiej".

STARE PANNY W ANGLII

Kobieta niezamożna która dziś wzięła na siebie brzemię **pracy**, przestała być żałosnym dziwolągiem w postaci „starej panny" i stała się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Niemniej w Anglii „stare panny" nie tylko podkreślają dziś swoją odrębność, ale założyły rodzaj stronnictwa, którego celem jest nie równouprawnienie z mężczyznami, ale **zrównanie z resztą kobiet**. Zaznaczyć należy, że w Anglii ubezpieczenia społeczne przewidują emeryturę dla pracowników od 65 roku ich życia. Tylko mężatki i wdowy mają prawo do emerytury już w 55 roku życia, co uzasadnia się tym, że kobieta starsza nie może już z reguły sprostać wyczerpującej pracy zawodowej.

Otóż „stare panny" angielskie, które pod względem emerytur są równouprawnione z mężczyznami, żądają obecnie równych praw z mężatkami i wdowami i żądanie swoje motywują tym, że pracodawcy zwalniają przeważnie pracownice nie zamężne po 55 roku życia, pod pretekstem zmniejszenia się wydajności ich pracy.

Inicjatorką ruchu „staropanieńskiego", który dziś ogarnął już całą Anglię, jest panna Florencja White, właścicielka małej cukierenki w jed-

nym z miast prowincjonalnych. Panna White straciła na wojnie narzeczonego, któremu pozostała wierna aż poza śmierć i nigdy nie wstąpi w związki małżeńskie. Twierdzi ona, że w Anglii jest bardzo wiele kobiet podobnych do niej, pozbawionych przez wojnę możności wyjścia za mąż i doznania rozkoszy macierzyństwa.

Panna White jest w ogóle osóbką bardzo energiczną. W swoim czasie zorganizowała ona bojkot kucharzy francuskich, którzy odbierali chleb bezrobotnym angielskim pracownikom gastronomicznym. Na skutek wszczętej przez nią bardzo konsekwentnie poprowadzonej akcji istotnie wielu kucharzy i kelnerów francuskich musiało opuścić Anglię.

Gdy Florencja White wystąpiła ze swoją tezą „równouprawnienia" starych panien, zwanych po angielsku „prządkami" (spinster — od „spin" prząść) z kobietami zamężnymi i owodowiałymi, miała... 20 zwolenniczek Liczba ich jednak zaczęła bardzo szybko wzrastać, i gdy odbył się może rok temu pierwszy pochód tej nowej grupy społecznej przez londyński Hyde-Park, liczył już kilka tysięcy uczestniczek, wcale nie starych, i nie koniecznie brzydkich. Te, które niosły na czele pochodu transparent z odpowiednim napisem, były nawet wybitnie ładne i tłum przyjmował je z głośnymi oznakami sympatii.

Od tego czasu „stronnictwo starych panien", nie mające zresztą zabarwienia politycznego, zdobywa sobie coraz więcej członków w całym kraju i dziś liczy ich już prawie ćwierć miliona. Program stronnictwa został ustalony na zjeździe zsyndykalizowanych robotników włókienniczych w Blackpool, ruch jednak przeniknął już obecnie na wieś i liczy wielu zwolenników wśród mężczyzn, którzy uważają żądania „starych panien" za słuszne i uzasadnione.

Na zjeździe w Blackpool najostrzej przeciwko Florencji White i jej programowi wystąpiła jedna z kobiet, nazwiskiem Hallworth, której głównym argumentem było, że „stare panny" występują ze swoim żądaniem w chwili, gdy państwo z trudnością utrzymuje równowagę budżetu i że równowaga ta zostałaby zachwiana tym bardziej, że po przyznaniu kobietom niezamężnym wcześniejszej emerytury, z takim samym żądaniem wystąpiliby niewątpliwie i mężczyźni.

W imieniu „starych panien" ciętej odpowiedzi udzieliła mówczyni niejaka panna Hector, zaznaczając, że „mimo wszystko", stara panna jest stworzeniem podobniejszym do kobiety niż do mężczyzny. Każda stara panna mogłaby przynajmniej raz w życiu wyjść za mąż, jeżeliby tylko chciała. Nawet najgłupsza i najbardziej niemoralna kobieta potrafi zawsze znaleźć męża, ale tylko kobieta decyduje się na to, by wziąć na siebie los starej panny i wytrwać w tym charakterze do końca życia.

— Nigdy nie byłyśmy ciężarem — mówiła panna Hector. — Byłyśmy pozbawione szczęścia osobistego, ale o to nie mamy do nikogo pretensji. Nie domagamy się od rządu, aby nam dostarczył mężów albo stworzył nam ognisko domowe. Żądamy jednak, by nam przyznano te same prawa, co mężatkom i wdowom, choćby dlatego, że jesteśmy samodzielne, zdane tylko na własne siły i że nikt nigdy na nas nie pracował i pracować nie będzie.

Charakterystyczne jest, że inicjatywę Florencji White podchwycił pierwszy przemysł prywatny. Hasło wyszło — od jednego z wielkich prywatnych przedsiębiorstw, które swoim pracowniczkom wypłaca emeryturę już w 45 roku życia.

NIE OBRAŻAĆ MORALNOŚCI KATOLICKIEJ POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA!

Z powyższym nagłówkiem ulotkę rozrzuciła „Akcja Katolicka" w Gorlicach dn. 17 listopada b. r. Cóż tak uraziło anonimowych (ulotka nie została przez nikogo podpisana) akcjonariuszów katolickiej „moralno-

-ści" w Gorlicach? Oto odczyt dra K. Gebla: „O higienie życia seksualnego", zapowiedziany na 17 listop. przez „Robotnicze Tow. Służby Społecznej" oddział w Gorlicach.

W ulotce czytamy:

„Dla niezepsutej katolickiej publiczności — omawianie spraw seksualnych w mieszanym gronie jest nieprzyzwoitością — nie higieną, lecz wyuzdaną obrazą uczuć katolicko-moralnych!!!

Prelegent-Żyd, — który dał się poznać z wykładów z dziedziny „świadomego macierzyństwa" z ramienia tegoż R. T. S. S., w organizacji obałamuconych stróżów i katolickich dziewcząt, — a wiemy, że „świadome macierzyństwo" — to propaganda samobójstwa polskiego ludu na naszą zgubę, a na korzyść obcych — niech zwróci się do swoich żydowskich kół i tam „wykłada", o ile tylko zechcą strawić jego nauki..." itd.

Nadmienimy, że odczyt odbył się przy szczelnie zapełnionej sali bez żadnego zakłócenia spokoju. A pp. akcjonariusze, którzy widocznie wzięli w pacht „moralność", może zechcą łaskawie zastanowić się nad kwestią, czy koniecznie „moralność" musi się obywać **bez inteligencji?** I może pogodzą się z faktem, niemoralnym wprawdzie, ale bądź co bądź **faktem,** że człowiek żyje także **życiem seksualnym?** I że może lepiej jest, jeśli będzie prowadził życie **zgodne z higieną, niż niezgodne?**

Z półki księgarskiej

KOBIETA W PRAWIE POLSKIM

Adw. Grażyna Szmurłowa przy współpracy Haliny Siemieńskiej i Haliny Alchimowicz: „Kobieta w prawie publicznym i prywatnym". Zbiór przepisów obowiązujących w Polsce. Wyd. Sekcji prawnej Wydz. Spraw Kobiecych Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Warszawie,, r. 1937, str. 40.

Celem tej pożytecznej broszurki jest przedstawienie w zarysie położenia prawnego kobiet w Polsce w nawiązaniu do akcji międzynarodowych organizacji kobiecych na terenie Ligi Narodów. Akcja ta zmierza do przeprowadzenia zawarcia międzynarodowej konwencji dotyczącej zupełnego równouprawnienia kobiet w dziedzinie prawa publicznego i prywatnego.

Autorka zestawiła przepisy dotyczące **praw politycznych** prawa cywilnego i **handlowego** oraz przemysłowego, ochrony **pracy** i **podatków,** praw **emerytalnych,** oraz przepisy prawa karnego dotyczące **dzieciobójstwa, spędzenia płodu, nierządu** i **pornografii** oraz uchylenia się od obowiązku alimentarnego; pomija zaś kwestię dzieci nieślubnych ze względu na zakres tematu który nadaje się do omówienia w osobnej pracy.

Jasne i przejrzyste przedstawienie całokształtu tych przepisów, stanowi niewątpliwie wartość praktyczną pracy, która jest pierwszym tego rodzaju zbiorem materiałów dotyczących prawnego położenia kobiety w Polsce.

Adw. A. St.



TREŚĆ III-go NUMERU ŻYCIA ŚWIADOMEGO:

Prof. U. P. dr Henryk Ułaszyn — O reformę prawa małżeńskiego; *Doc. U. J. dr Eugenia Stołyhwowa* — Z zagadnień krzyżowania ras ludzkich; *Maksymilian Boruchowicz* — Czy nie czas skończyć z frazesem o „życiu ułatwionym“?; *Ludwik Szczepański* — Narzeczeni; *Dr Paweł Klinger* — Sterylizacja mężczyzn; *Inż. Henryk Jasieński* — Bałamuctwo i banały; *Dr André Morin* — Sytuacja prostytutki we Francji pod względem prawnym; *Karol Müller* — Prostytucja w Krakowie (reportaż); *Józef Litauer, adwokat* — Smutny jubileusz; *Doc. U. J. dr Wiktor Ormicki* — W sprawie naukowych podstaw polskiej polityki ludnościowej; Z półki księgarskiej; Echa; Listy.

TREŚĆ IV-go NUMERU ŻYCIA ŚWIADOMEGO:

Ludwik Szczepański — Gruba Berta i trochę zdrowego rozumu *Irena Krzywicka* — Rozczarowany pisarz; *Halina Krahelska* — Źródła przemian obyczajowych; *Leon Kruczkowski* — „Małżeństwo doskonałe”; *Dr Zofia Ślączkowa* — Metoda Ogino Knaus w świetle krytyki; *Józef Litauer, adwokat* — Walka z eugeniką; *Dr Józef Kirschner* — Uwagi o projekcie ustawy eugenicznej; *Dr Mieczysław Steinbach* — Lekarze a regulacja urodzeń w Stanach Zjednoczonych; *Inż Henryk Jasieński* — Wewnętrzne sprzeczności tradycjonalistycznych ideologii; *Felicja Stendigowa* — Dwutorowa amoralność—czy jednotorowa moralność? O ponowne otwarcie Miejskiej Poradni Świad. Mac. w Łodzi Z półki księgarskiej; Echa.

TREŚĆ V-go NUMERU ŻYCIA ŚWIADOMEGO:

Ludwik Szczepański — Za dziecko trzeba płacić; *Dr Mieczysław Steinbach* — Odwrót od liberalizmu seksualnego w ZSRR; *Halina Krahelska* — Rozważania o ubezpieczeniu macierzyństwa; *Ignacy Fik* — Do kobiet (wiersz); *Aniela Steinsbergowa, adwokat* — Ustawy norymberskie; *Dr Paweł Klinger* — Seksualizm dzieci; Ziarnka pieprzu — *Tommy, Lech Piwowar, Felicja Stendigowa*; *Inż. Henryk Jasieński* — W ciągu lat czterdziestu ..; *Dr Mieczysław Steinbach* — Dr Leon Swieżawski w walce o nową moralność; Kolumna plastyki — *Jerzy Fedkowicz*; Z ruchu — *Dr Maria Jeleniewska, Dr Zofia Ślączkowa, Dr J. Kirschner, Dr B. Osiek, Dr K. Gebel*; Z półki księgarskiej; Echa.

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4.